# AS



Nr. 10.
8-go MARCA 1936 R.
CENA 40 GROSZY.

**Mała Butterfly...**
Shirley Temple, gwiazdka „Foxa"

# Czy masz bujną fantazję?

## *Konkurs na najnieprawdopodobniejsze głupstwo.*

### Z pamiętników króla gumy.

**I.**

Było to w r. 1875. Wzrastająca ciągle produkcja samochodów zachęciła mnie do fabrykacji dętek i opon samochodowych. Założyłem więc w mojej posiadłości pod Londynem plantację drzew gumowych. Opodal stanął budynek fabryczny. Interes szedł doskonale. Moje wyroby z miejsca zdobyły sobie rynki zbytu niemal na całym



świecie. Robotnicy w mojej fabryce pracowali na 3 zmiany 8 godzin. W r. 1878 miało miejsce zdarzenie, które ostatecznie zadecydowało o mojem powodzeniu. Siedziałem wieczorem w moim londyńskim klubie, gdy otrzymałem telefoniczną wiadomość, że w fabryce wybuchł pożar. Wsiadłem do auta i w pół godziny później byłem na miejscu. Paliło sie na piątem piętrze. Motopompy straży pożarnej były w trakcie gaszenia. Nagle wychylił się z okna piątego piętra jeden z robotników. Biedny człowiek miał odciętą drogę do ucieczki, bo schody stały w ogniu. Jakiś czas stał w oknie, a potem cofnął się w głąb pokoju. Po chwili ukazał się spowrotem, owinięty od stóp do głów dętkami samochodowemi i bez namysłu wyskoczył na bruk. — Pożar wkrótce ugaszono, ale z robotnikiem mieliśmy kłopot, bo gumowe opony, któremi był owinięty, były tak doskonałe, że biedak dotknąwszy się ziemi, odbił się odrazu i wylatywał znowu na kilkanaście metrów w górę. Trwało to dwa tygodnie. Gazety całego świata o niczem innem nie pisały. Nie widząc innego sposobu przerwania mąk biedaka wezwaliśmy pułk artylerji przeciwlotniczej, który strzałami swych armat rozstrzelał go na kawałki. — Nie muszę chyba dodawać, że wypadek ten był dla mnie najlepszą reklamą.

**II.**

Raz zaszedł taki wypadek w mojem życiu, że przeklinałem doskonałość moich wyrobów. Byłem już wtedy bardzo bogatym człowiekiem i jeździłem moim własnym pociągiem. Pewnego dnia miałem bardzo ważny interes w Glasgow. Przygotowano mój pociąg. Jeżdżę zwykle z całą służbą, która zajmuje ostatni wagon. Tego dnia miałem być o 8-mej wieczorem na miejscu. Była już piąta, gdy wsiadłem do wagonu na dworcu „Victoria". Rozmówiłem się z maszynistą i kazałem mu jechać całą parą. Ruszyliśmy. O godz. 8-mej wieczorem nie byliśmy jeszcze na miejscu, a pociąg jechał bardzo wolno. Byłem wściekły. Wszedłem na lokomotywę i spytałem co to znaczy, że jedziemy tak powli. Maszynista bez słowa pokazał manometr. Ciśnienie w kotle było ogromne, a mimo to ledwie się posuwaliśmy. Nikt nie wiedział co to znaczy. W pewnej chwili pociąg stanął, a potem począł się cofać w tył z początku powoli, a potem coraz prędzej. W szalonem tempie wjechaliśmy spowrotem na dworzec „Victoria" i tam nagle zatrzymaliśmy się przed tablicą reklamową „Cukier krzepi". I wiecie co się pokazało? Oto mój służący w chwili, gdy wyjeżdżaliśmy ze stacji stał na tylnym pomoście ostatniego wagonu i czyścił moje ubranie. Był bez marynarki i przypadkowo zaczepił szelkami o tablicę reklamową. Guma szelek była tak doskonała, że nie pękła lecz rozciągnęła się o 150 km, a potem swoją własną siłą przyciągnęła pociąg spowrotem.

**„Irena".**

### Polowanie na hipopotama.

Pewien myśliwy, polujący w Afryce, spostrzegł któregoś dnia hipopotama, wylegującego się na słońcu na brzegu rzeki. Natychmiast chwycił z ramienia swój pięciostrzałowy sztucer, wycelował i strzelił. W tym samym momencie uczuł, że fuzja bardzo silnie uderzyła go w ramię, hipopotam natomiast, leżał najspokojniej dalej.



Strzelił jeszcze cztery razy z tym samym skutkiem. Cóż się okazało? Zwierzę miało tak twardą skórę, że kule odbijały się od niej i wpadały spowrotem do lufy tak, że po pięciu strzałach cała lufa zapchana była kulami i myśliwy zrezygnował z polowania na hipopotama. Aby oczyścić lufę z kul, musiał fuzję ponownie nabić i wystrzelić w powietrze.

**„Król Trefl".**

### Sposób na kryzys.

Rząd beludżystański, walczący — jak wiadomo — od wielu lat z kryzysem, który wskutek bezrobocia, ogarniającego 3/4 społeczeństwa, wywołał epidemję zaniku organów trawiennych i rozrodczych, — dokonał ostatnio wynalazku o niesłychanej doniosłości. Jak to zazwyczaj bywa wynalazcą był przypadek. Oto dla „rozweselenia" przygnębionych fatalnymi stosunkami obywateli, umieszczono we wszystkich t. zw. „lokalach zabawowych" na całym terenie państwa automaty, odbierające zły humor „grającego" na takim automacie osobnika i rejestrujące równocześnie stopień nasilenia je-




go „chandry". Automat przedstawia wyrobioną z metalu i gumy podobiznę „bożka kryzysu", którego za skromną opłatą wolno... walić w gębę... ile sił i ochoty. Skala zegarowa pokazuje zapomocą wskazówki siłę i temperament gracza. Automaty te, — na które koncesję otrzymało szereg organizacji politycznych o różnem zabarwieniu, — cieszą się ogromną popularnością, a „gra w bicie kryzysu" przyczynia się znakomicie do uspokojenia stosunków społecznych i rodzinnych. Nie na tem jednak koniec!

Pewien, pragnący narazie pozostać w skromnem incognito, członek gabinetu wpadł na pomysł magazynowania siły poszczególnych uderzeń, wbitych w każdy automat. Zapomocą bardzo prostego mechanizmu, złożonego z szeregu zębatych kółek, naładowuje się wstawiony w automat t. zw. „ideokondensator", który — po osiągnięciu maksimum pojemności — odsyła się do państwowej centrali. Półroczne doświadczenia wykazały, że zmagazynowana w akumulatorach, złożonych w państwowej centrali, siła — uzyskana bez żadnych kosztów, przeciwnie... przysparzająca z opłat pokaźny dochód, — wystarcza do uruchomienia wszystkich, pędzonych dotychczas elektrycznością, parą, czy innymi gazami zakładów przemysłowych, nie wyłączając kolei, tramwajów i... optymizmu!

Rząd beludżystański nosi się już z zamiarem podniesienia poborów urzędnikom i doliczenia emerytom 10% czasu służby państwowej, z przedkryzysowego okresu prosperity!...

**W. B.**

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ.
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

# AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600. Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

**Numer 10** **Niedziela 8 marca 1936** **Rok II**

## ASY NUMERU 10-GO:





*Fot. New Jork Times — Londyn.*

**Wśród słynnych śpiewaków jedno z pierwszych miejsc zajmuje bezwątpienia Fiodor Szalapin, który już przed wojną światową odnosił olbrzymie sukcesy na scenach największych oper świata. Szalapin jest również wybitnym aktorem filmowym, czego dał dowód swą niezrównaną kreacją Don Kiszota w filmie, który kilka lat temu stał się sensacją ekranów całego świata. Ruchliwy nadwyraz artysta znajduje się obecnie w Tokio, gdzie zwiedził teatr Kabuki, w którym mogą występować tylko mężczyźni. Na zdjęciu widzimy słynnego śpiewaka w towarzystwie swej pięknej córki i aktora japońskiego Kikugoroh Onoye odtwarzającego role kobiece w teatrze Kabuki.**

# ZOO





Cieszące się dziś tak wielką popularnością publiczne ogrody zoologiczne (liczba wielkich „Zoo" dochodzi dziś do 200 zgórą na świecie) sięgają zamierzchłej przeszłości. Już Egipcjanie, na tysiące lat przed naszą erą musieli oddawać się z wielkiem zamiłowaniem hodowli dzikich zwierząt. Świadczą o tem tysiące mumij zwierzęcych, odnalezionych w wykopaliskach. Poza mumjami zwierząt, którym Egipcjanie oddawali cześć boską, jak kotów, krokodyli i ibisów — co tłumaczy się względami religijnymi — odnaleziono w Egipcie niezliczone ilości mumij małp i wielkich drapieżców.

Pierwszy jednak przykład ogrodu zoologicznego, zbliżonego do dzisiejszych zoo, dają Chiny na 1000 lat mniej więcej przed naszą erą. Ogród, który istniał tam za dynastji Chow, miał cel naukowy i pedagogiczny. Świadczy o tem nazwa. „Ogród Wiadomości", którą nosił. Inaczej rzecz się miała u wschod hrdlu rdlu rdlu w Rzymian i na dworach wschodnich królów i satrapów, w starożytności. Prócz ułaskawionych dzikich zwierząt, chowanych ku rozrywce władcy — często ku osobistej jego obronie — przechowywano w ogromnych vivariach przy cyrkach niesłychane ilości zwierząt — przyszłych zapaśników w walkach na arenach, a więc w celach jedynie tylko widowiskowych.





*Ulubieniec Londyńczyków, wspaniały lew afrykański, oczekuje niecierpliwie w ogrodzie zoologicznym swego obiadu*

*Powyżej na lewo: Niedźwiedzie w londyńskim ogrodzie zoologicznym żyją na poufałej stopie ze zwiedzającą publicznością.*

Później, w średnich wiekach, na dworach europejskich możnowładców spotykamy coś w rodzaju ogrodów zoologicznych — zwierzyńce, na które składały się, bądź to dziwy ze świata zwierzęcego, przywożone z dalekich wypraw wojennych, bądź też przysyłane jako upominki, przez królów z odległych krain, z którymi łączyły ich polityczne, czy handlowe stosunki.

Prawdziwy jednak, doskonale założony i utrzymywany ogród zoologiczny, odnajdujemy w Meksyku, około 1500 naszej ery, dzieło Montezumy II. Były w nim ogromne sadzawki z wodą słodką dla rzecznych, a słoną dla morskich gatunków ryb — kolosalne ptaszarnie z najrzadszemi odmianami ptaków, głębokie jamy, kopane w ziemi, w nich najrozmaitsze odmiany drapieżców — i klatki z gryzoniami. Osobny i bardzo znaczny dział stanowiły płazy i gady. Hala, obejmująca ich zbiór, miała 150 m. długości; stały w niej rzędami klatki, gęsto okratowane, wyścielone pierzem — głębokie koryta, pełne mułu. Przewalały się w nich olbrzymie, regularne, w geometryczne figury znaczone cielska boa-dusicieli, zwijały nieraz cudnie



*„Safari" jest pierwszym słoniem afrykańskim, którego wytresowano w cyrku Hagenbecka w Berlinie.*

nieraz barwione sploty mniej lub bardziej jadowitych przedstawicieli wężowego rodu. Nie działo się źle mieszkańcom tego rajskiego ogrodu: wszystko co było było mięsożernego między nimi, karmiono mięsem dzikich indyków, których musiały być wówczas nieprzeliczone ilości w Meksyku, skoro zapiski mówią, iż dziennie ubijano około 500 sztuk tych ptaków, o doskonałem mięsie, na karmę dla zwierząt królewskich. Poza zwierzyńcem, ogród Montezumy obejmował też ogród botaniczny i — kolekcję wybryków natury, oraz potworów, z gatunku homo sapiens — a więc, był to prototyp cyrku Barnum'a, który z iście amerykańską delikatnością uczuć i dobrym smakiem, obwoził kilka dziesiątek lat temu podobną kolekcję okropności i nędzy ludzkiej po świecie.

Pod koniec wieków średnich Ludwik XI. założył przy Luwrze menażerję, która przetrwała aż do czasów Henryka III. Król ten — typowy degenerat i nerwowiec — miewał niespokojne noce, podczas których ciężkie zmory dręczyły go we śnie. Razu pewnego przyśniło mu się, że nacierają nań zewsząd lwy, niedźwiedzie i wilki i że ginie, rozdarty na sztuki ich kłami. W następstwie tego snu, na rozkaz króla, dokonano zaraz nazajutrz olbrzymiej rzezi wśród mieszkańców menażerji. Padły od dzid — łuków i samopałów lwy — tygrysy — niedźwiedzie i wilki. Hekatomba ta była środkiem prewencyjnym, podyktowanym przez strach, który oblecial naszego, smutnej pamięci, pierwszego elekcyjnego króla, przed ewentualnem ziszczeniem się okropnego snu.

Dopiero Ludwik XIV. ufundował znowu zwierzyniec królewski, t. zw. „Jardin du Roi" — tym razem w Wersalu. Miał on już pewną naukową wartość (za Ludwika XV-go dyrektorem tego zwierzyńca, był sam wielki Buffon) i przetrwał około 100 lat, podupadając stopniowo, aż w czasach Wielkiej Rewolucji zniszczył go motłoch paryski, plądrujący pałac i ogrody królewskie. Ocalał wtedy tylko jeden lew, indyjski nosorożec, dużego gatunku antylopa afrykańska i zebra.

Wogóle paryskie zbiory zoologiczne w przeszłości dziwne przechodziły koleje. — Stosunkowo niedawno, bo podczas oblężenia Paryża w 1870 roku, z rozkazu władz miejskich, mieszkańcy Jardin des Plantes, jednego z najstarszych ogrodów zoologicznych w Europie, w dzisiejszem tego słowa znaczeniu, bo założonego po roku 1793 (starszym od Jardin des Plantes jest tylko ogród zoologiczny w Schönbrunnie, założony w połowie XVII. w. — Londyński zaś jest od niego o 20 lat młodszy) poszli pod nóż rzeźniczy — a mięso ich sprzedawane było w jatkach zgłodniałej ludności Paryża. Spokojne gosposie paryskie, nie przywykłe do tak egzotycznej kuchni, ze zgrozą i żegnając się płochliwie, patrzyły na smażące się na patelni i syczące w krokodylim czy hipopotamowem sadle kręgi słoniowej trąby i niedźwiedzie łapy — te ostatnie stanowiące przecież przysmak dla naszych s a r m a c k i c h przodków!

Dziś, prócz nędznie wegetującego „Jardin d'Acclimatation" przy Lasku Bulońskim i uroczego „Jardin des Plantes", po wojnie francusko-pruskiej 1870 roku, na nowo zapełnionego egzotycznymi mieszkańcami — któremu tak wdzięczny pomnik wystawił Anatol France w „Livre de Mon Ami" — Paryż szczyci się wspaniałem, bardzo nowożytnie urządzonem Zoo w Lasku Vincennes, na terenach ostatniej Wystawy Kolonjalnej. — Początek dał mu kolosalny kompleks sztucznych skał — prawdziwa małpia republika — na których baraszkowały w słońcu setki większych i mniejszych naszych czwororękich dalekich kuzynów — i kilkumorgowy park-zwierzyniec, otoczony szerokim i głębokim rowem betonowym, o brzegach, najeżonych grubymi kolcami. Oglądało się w nim z odległości kilku metrów zaledwie, przechadzające się swobodnie, nieoddzielone kratami, ani siatkami od widza, stada lwów, słoni, zebr i antylop. Zwierzyniec ten stanowił wielką atrakcję Wystawy Kolonjalnej. Szczególniej siedm sztuk wspaniałych lwów, samców, o przepysznych grzywach — bardzo kłótliwie usposobionych — dawały widowiska godne rzymskich aren i zapierające wprost dech w piersiach.

W Niemczech prawie w każdem większem mieście istniały przed wojną mniejsze lub większe ogrody zoologiczne. Niemcom zawdzięczamy również pierwszy, istniejący na ziemiach polskich, sympatyczny „Zoolog" Poznania. W Niemczech kwitł w ostatnich dziesiątkach lat największy handel dzikiemi zwierzętami. Zakłady Hagenbecka pod Hamburgiem, zaopatrywały w zwierzęta wszystkie prawie menażerje europejskie. Do największych ogrodów zoologicznych poza ogrodami zakładów Hagenbecka, należało Zoo w Berlinie i w Dreźnie. Podczas wojny wybito w nich zwierzęta, z powodu braku karmy. I choć o tem cicho było w gazetach, lecz w kraju, gdzie wówczas mieszano mielone trociny drzewne do chleba — gdzie zbierano skrzętnie szmaty, służące przy oliwieniu maszyn, wytapiano z nich tłuszcz i, po oczyszczeniu, sprzedawano go, jako „jadalny"— trudno przypuścić, żeby pozwolono zmarnować się takiemu bogactwu mięsa. Tygrysie i lwie polędwice, odpowiednio spreparowane, rozchodziły się pewnie w puszkach jako konserwy po kraju — co, do pewnego stopnia tłumaczyłoby niektóre wojenne i powojenne objawy zdziczenia w państwie bojaźni Bożej...

W Londynie, przed założeniem dzisiejszego Towarzystwa Zoologicznego, usiłowano niejednokrotnie stworzyć zwierzyńce. Próbą taką na najszerszą skalę był założony przy

*Dokończenie na str. 6-ej.*



*Olbrzymia jaszczurka „Moritz" jest jedynym mieszkańcem berlińskiego akwarjum, któremu wolno swobodnie spacerować po gmachu, mieszczącym akwarjum.*



*Za kawałek chleba foka wykonywuje najnieprawdopodobniejsze cyrkowe sztuki.*

*Poniżej: Olbrzymie akwarja ogrodów zoologicznych są mieszkaniem wspaniałych, lecz nader groźnych wężów.*



*(Ciąg dalszy ze str. 5-ej).*

Towerze zwierzyniec. O ilości ryb, w jakie wówczas obfitowała Tamiza świadczy fakt, że jednego z pensjonarzy, białego niedźwiedzia polarnego wyprowadzała służba i wpuszczała na łańcuchu do pobliskiej Tamizy, gdzie mógł napaść się do syta rybami. — W ten sposób strażnicy oszczędzali sobie żmudnego połowu — niedźwiedziowi zaś dostarczano sportowej rozrywki i zdrowego ćwiczenia fizycznego.

Nieco później, w pierwszej połowie zeszłego stulecia, znaną i bardzo uczęszczaną była w Londynie menażerja, mieszcząca się przy ulicy Strand — a więc w samem centrum stolicy. Bardzo popularnym był słoń w niej, wabiący się „Chunee". Tego znów humanitarny — względnie „animalitarny" — zarząd menażerji zwykł był kazać wyprowadzać nocą — i Chunee, pod opieką swego dozorcy, zażywał świeżego powietrza i ruchu, spacerując po Strandzie. Do przyjemności bawiącego się nocą towarzystwa londyńskiego, należało jechać po wesołej kolacji na Strand, by spotkać Chunee'go na nocnej przechadzce. Panie, w koronkowych chusteczkach przynosiły mu łakocie i owoce, zabrane ze srebrnych pater deserowych— rozbawieni panicze podawali olbrzymowi odkorkowane butelki szampana, który nadewszystko lubiał spijać Chunee-koneser.

I lata całe trwała ta sielanka. Aż pewnego dnia, zwykle dobroduszny i łagodny Chunee wściekł się — i zaczął szaleć. A szaleństwo słonia, pomnożone przez jego siłę — to rzecz straszna! Szalał więc tak, że nie sposób było dostąpić do niego, by zbadać przyczynę tej niesamowitej zmiany w usposobieniu olbrzyma. Nie było rady — trzeba było zgładzić Chunee'ego! Żeby tego dokonać, musiano zawezwać pomocy całego plutonu piechoty — bo proszę pomyśleć: porywać się z e s k a ł k ó w k ą na słonia! — I biedny Chunee zginął — dosłownie rozstrzelany! Dopiero po śmierci ulubieńca Londynu okazało się, że cierpiał z powodu — zepsutego kła! Ten, kogo nigdy nie bolały zęby — ten nie zrozumie Chunee'go! Ale cóż powiedzieć o bólu zęba, który waży 75 kilogramów!

**Julja Rylska.**

---

# „ARMJA DON KICHOTA"



*Autożyro w momencie przyjmowania poczty w czasie lotu.*

Jednem z najżywotniejszych zagadnień z dziedziny aeronautyki, zaprzątającem stale umysły konstruktorów i wynalazców była kwestja absolutnego bezpieczeństwa lotu i możliwość pewnego i spokojnego lądowania w wypadku defektu silnika.

Zwłaszcza lotnictwo cywilne i turystyczne postawiło te postulaty na pierwszem miejscu przed szybkością i zwrotnością, wymaganą znów przez lotnictwo wojskowe, dla którego bezpieczeństwo jest z założenia rzeczą bardzo problematyczną.

Nowoczesne samoloty komunikacyjne i sportowe w dużym stopniu spełniają warunek bezpieczeństwa lotu; liczne urządzenia, odpowiedni kształt płatów, pomysłowe przyrządy pokładowe zabezpieczają przed korkociągiem (do niedawna symbolem nieuchronnej zguby pilota w mniemaniu laików), pozwalają na lot w nocy, a nawet we mgle, która była prawdziwą katastrofą dla lotnika i wybaczają oraz korygują błędy początkującego adepta powietrza. Tylko przymusowe lądowanie nadal pozostało loterją, w której niestety rzadko wygrywa się główny los, jakim jest zupełnie gładkie siadanie, a c z ę s t o przegrywa się całą stawkę, przypłacając życiem napotkanie fatalnej przeszkody terenu, lub utratę zimnej krwi na przeciąg ułamka sekundy. D o p r o w a d z e n i e szybkości lądowania do 50 km na godz. i mniej jeszcze i skrócenie wybiegu do kilkudziesięciu zaledwie metrów nie wystarcza; uderzenie przy tej szybkości jest zawsze katastrofą.

Koncepcja samolotu wznoszącego się i lądującego pionowo była oddawna źródłem rozmaitych pomysłów i prób licznych rzesz inżynierów, często też dochodziły wieści o mniej lub więcej udanych lotach nowych maszyn, o budowie opartej na zasadach innych, niż dotychczasowe samoloty; po pewnym czasie prawie wszystkie okazały się fantazją lub zwykłym bluffem.

Z rozmaitych projektów i teoryj skrystalizowały się dwa zasadnicze typy, różniące się od zwykłych: pierwszy to helikoptery, zaopatrzone napędem wprost od góry, który ma zapewnić pionowy start i lądowanie, drugi, to ornitoptery, naśladujące lot ptaków, za pomocą ruchu skrzydeł. Jak dotąd, żadne z tych rozwiązań nie daje pełnych wyników, mimo że lot na wzór ptaków i do tego siłami człowieka, zamiast silnika, jest w Niemczech obecnie przedmiotem ciągłych badań i prób, które może z czasem przyniosą owoce. Wtedy zdołamy się oderwać od matkiziemi o sile własnych mięśni.

Rewelacyjne rozwiązanie znalazł po długich latach żmudnej pracy inżynier hiszpański De La Cierva, którego wynalazek spełnia znakomicie wymagania lotnictwa sportowego. Samolot jego, nazwany przez niego „autogiro", jest konstrukcją zupełnie oryginalną i z punktu widzenia aerodynamiki niezmiernie ciekawą.

Zapewne wielu z naszych Czytelików widziało już autożyro w Polsce, jedyny narazie zaparat, zakupiony w Anglji dla Departamentu Lotnictwa, którym przyleciał płk. Stachoń, demonstrując go na lotnisku mokotowskiem w czasie meetingu przed zawodami o puhar Gordon-Bennetta.

Uderzającą różnicą między autożyrem, które inaczej nazywamy samolotem wiatracznym lub poprostu wiatrakowcem — a płatowcem, jest kompletny brak stałych skrzydeł przy kadłubie u pierwszego. Zamiast nich wiatrakowiec zaopatrzony jest w wiatrak, sporządzony z trzech wąskich i długich skrzydeł, umieszczonych na rusztowaniu z metalowych profilów. Skrzydła te obracają się na wspólnej osi, w płaszczyźnie poziomej nad kadłubem.

Sam kadłub, jak w normalnym samolocie, trochę krótszy i bardziej beczkowaty, pozbawiony jest steru wysokości i zamiast płozy ma z tyłu małe kółko, które służy do utrzymania kierunku przy kołowaniu po lotnisku, koła podwozia są rozstawione bardzo szeroko.

Całość czyni na widzach wrażenie nieco pokraczne i groteskowe, brak solidnych szerokich skrzydeł dyskwalifikuje w pojęciu niefachowca autogiro jako maszynę do latania.

Dopiero w [illegible]cie okazuje się, jakie zalety przyczyniły się do tak niebywałego rozpowszechnienia samolotów wiatracznych zagranicą. Najważniejszą z nich jest zupełna niezawodność „wiatraka", który dosłownie nie może się „zepsuć" w powietrzu i defekt motoru nie wpływa na jego ruch obrotowy, gdyż kręci się on sam pod wpływem ruchu postępowego samolotu zupełnie swobodnie i powoduje wypór, wystarczający do utrzymania aparatu w powietrzu. Silnik wprawia w ruch tylko zwykłe śmigło, które ciągnie całą maszynę wprzód.

Trudno w krótkości wytłumaczyć zasadę działania wiatrakowca, przekraczałoby to znacznie ramy popularnego szkicu i zawiodłoby nas na manowce zawiłych dociekań aerodynamicznych, wymagających dokładnego przygotowania i zrozumienia wielu zjawisk mechaniki lotu; ale to już teren fachowców.

Wystarczy zupełnie, jeśli się powie, że wiatrakowiec nie jest helikopterem, t. zn. że jego wiatrak nie jest śmigłem, ciągnącem go




pionowo w górę mocą silnika, lecz że są to poprostu ruchome płaty, obracające się całkiem swobodnie i luźno na pionowym wale (przed startem jednak wiatrak musi być rozruszany silnikiem zapomocą sprzęgła).

Prowadzenie i obsługa aparatu w powietrzu jest niezwykle prosta: autożyro nie wymaga skomplikowanej współpracy steru bocznego z lotkami i sterem wysokości. Autożyro steruje się zapomocą jedynego drążka pionowego, umieszczonego nad kabiną pilota i nie dopuszcza żadnych błędów pilotażu, jak np. skrzyżowania sterów, zwisu lub trawersu. Skutkiem ruchu wirowego dużych stosunkowo mas, które działają jak żyroskop, maszyna sama zachowuje równowagę i posiada dużą stateczność nie kołysze się w powietrzu przy stałych podmuchach wiatru.

Start autożyra jest niezwykle krótki. Na meetingu warszawskim publiczność mogła zaobserwować wielkie walory wiatrakowca, który konkurował o palmę pierwszeństwa z najlepszym na świecie samolotem sportowym, chlubą polskiej konstrukcji i zwyciężcą Challenge'u: maszyną RWD 9.

RWD 9 do rozbiegu potrzebuje kilkadziesiąt metrów, podczas kiedy autożyro odrywa się po 3—5 metrach, chociaż ma mały kąt wznoszenia i w braniu przeszkody ustępuje nieco naszej „rekordzistce". Dopiero próby szybkości minimalnej i krótkiego lądowania wykazały fantastyczne możliwości wiatrakowca, który zredukował swoją szybkość do tego stopnia, że poprostu tkwił nieruchomo w powietrzu, jak pająk, zawieszony na niewidocznej nici u niebieskiego pułapu.

Wreszcie lądowanie jest tak łatwe i proste, że robi wrażenie zupełnej naturalności nawet na laikach: żadnego podchodzenia, precyzyjnego załamywania maszyny, ani punktualnego podciągania i wyrównania nad samą ziemią. Cała ceremonja, która sprawia początkującym tyle trudności i której opanowanie i wykończenie cechuje dobrego pilota, tu wogóle odpada z programu; wiatrakowiec z niezrównaną flegmą schodzi z wysokości prawie pionowo, nakształt dużego otwartego parasola i siada na miejscu bez żadnego wybiegu, bez względu na to, czy trafił na równy, czy na wyboisty teren. W czasie pokazu wiatrakowiec przy siadaniu oparł się jednem kołem podwozia o barjerę (normalnemu płatowcowi wystarczyłoby to aż nadto do kapotażu, a nawet do rozbicia) i zatrzymał się przechylony figlarnie z jednem kolem o pół metra wyżej od drugiego.

Szybkość maksymalna autożyra wynosi dzisiaj już ponad 200 km na godz, co zupełnie zadawala sportowców i turystów, tembardziej, iż zużywa znacznie mniej paliwa i smaru, niż płatowiec tej samej wielkości i szybkości.

Dlatego też zagranicą autożyro powoli wypiera normalne płatowce z dziedziny sportu i turystyki i już tysiące maszyn kręci swemi wiatrakami nad Anglją, Francją i Ameryką. Możliwość zastosowania nowego wynalazku przeszła wszelkie oczekiwania. Dość powiedzieć, że policja londyńska używa wiatrakowców do rgulowania zbytniego ruchu na ulicach. „Latający policjant" krąży nad miastem powoli i nisko i w razie nagłego wzmożenia ruchu pojazdów na jakimś odcinku, daje sygnał „przyziemnemu" policjantowi, który odpowiednio kieruje część pojazdów innemi ulicami. Wielkie koncerny prasowe przywożą zapomocą autożyra fotografje i reporterów z lotniska wprost na dach redakcji, aby zaoszczędzić cenne minuty, stracone przy przepychaniu się samochodu przez zatłoczone ulice.

Wiatrakowiec nie nadaje się narazie dla celów wojskowych, gdyż spowodu małej zwrotności, która wyklucza akrobację, nie jest zdolny do walki powietrznej. Niezrównany jest natomiast do robienia zdjęć i regulowania ognia artyleryjskiego, a specjalnie jako łącznik między jednostkami w polu, gdzie brak lotnisk uniemożliwia często pracę zwykłym samolotom.

Nauka pilotażu wiatrakowca jest całkiem nieskomplikowana i podobno można ją opanować w przeciągu godziny.

Statystyka nieszczęśliwych wypadków lotniczych nie notuje dotychczas żadnych ofiar katastrof „wiatrakowych".

U nas, przy małej sieci lotnisk, znalazłoby autożyro duże zastosowanie w usprawnieniu naszej poczty, która przy naszych złych warunkach drogowych i nieświetnych kolejowych potrzebuje nieraz kilku dni na doręczenie listu na zapadłej prowincji, podczas gdy lotem ptaka list te znalazłby adresata tanio i pewnie za kilka godzin... Ale to muzyka przyszłości. **Zygmunt Czyżowski.**



*W Londynie policja reguluje ruch uliczny z autożyra, unoszącego się w powietrzu nad skrzyżowaniem ważniejszych arteryj komunikacyjnych.*

*Podczas lotu autożyro wygląda jak jakiś monstrualny, przedpotopowy owad.*



*Nawet największe trudności terenowe nie mogą spowodować katastrofy przy lądowaniu autożyra.*



*Autożyro lądujące na jednym z placów nowojorskich.*

# GWIAZDECZKI SZKOLNEJ SCENY

Dzieci przywiązują się do szkoły i szkołę swą kochają. Bardzo częstem zjawiskiem jest paradoks, że autorytet nauczycielki lub nauczyciela jest dla dziecka nietylko w sprawach szkolnych czemś więcej niż powaga ojca lub matki. Opierając się na tej psychice dziecka, dzisiejsza pedagogika buduje swój system wychowawczy na najściślejszej współpracy domu i szkoły. Rodzice interesując się jej pracą szkolną w miarę możności uzupełniają ją w domu; z drugiej strony szkoła, poinformowana o zainteresowaniach i pracy pozaszkolnej dziecka i jego życiowych warunkach, wie w jakiej formie może wymagania swoje względem swych wychowanków stosować.

Jedną z dziedzin, które współczesna Polska zdołała, przynajmniej w pewnym zakresie, dostosować do współczesnej psychologji i wymagań, jest szkoła, której placówki stoją nieraz na bardzo wysokiej wyżynie. Ze szkół tych wychodzi młode pokolenie z szerokim światopoglądem, wychowane praktycznie, a nadewszystko nastrojone optymistycznie. Ten optymizm jest bodaj-że największym skarbem młodzieży, gdyż stanowi najpewniejszy fundament dalszych prac. Zerwaliśmy, chwała Bogu, z ponurością szkoły, którą zresztą nader dobrze tłumaczyły warunki życia młodzieży szkolnej za czasów zaborczych. Dzisiaj śmiech jej jest pełen, siły, radośsi i nie uchodzi za przestępstwo wobec władz szkolnych. Aby wytworzyć odpowiednią atmosferę w szkole, aby władze jej mogły dobrze poznać charakter dziecka, a rodzice poprzeć program szkolny w życiu codziennem, konieczna jest współpraca rodziców ze szkołą.

Tylko wzajemna współpraca szkoły i rodziców stworzyć może idealną harmonję wychowawczą o podkładzie indywidualnym. Na terenie szkół w Poznaniu zasada ta stosowana jest w praktyce w całej pełni w niedawno dopiero otwartem „Collegium Marianum", które składa się ze szkoły powszechnej, gimnazjum męskiego i gimnazjum żeńskiego. Jednym z dowodów pięknej i wzajemnie lojalnej współpracy domu rodzicielskiego ze szkołą była urządzona niedawno „Zabawa karnawałowa dla dzieci", którą przygotowały i przepięknie wyreżyserowały Matki z Koła Rodzicielskiego. Dzieci świetnie się bawiły. Wykonawczyniami programu były uczenice II i III kl. Po doskonałych popisach chóru odegrano komedyjkę. Małe ukostjumowane aktoreczki nietylko, że wywiązały się ze swych ról znakomicie, ale ujawniły tyle rzetelnych i poważnych talentów, że wprowadziły w zdumienie cały dorosły komitet tej imprezy, jak też i licznie przybyłych gości. Tańce: kujawiak, trojak i krakowiak wykazały bajeczny zapał i temperament dzieciarni, a walc i menuet, wdzięk i wytworność ruchów małych odtwórczyń. Na osobną wzmiankę zasługuje taniec „Anitry" Griega, który w małej bajaderce Krysi Wanke miał idealną interpretatorkę. Dziewczynka jest uzdolnioną tancerką, której talent zapowiada się bardzo ładnie. Na zakończenie inscenizowano wierszyki. wszystko w pięknych i stosownych kostjumach regjonalnych. Ster zabawy dzierżyły harcerki z gimnazjum.

Jak wyglądał zespół 8 i 9-letnich dziewczynek, wykonawczyń tych pięknych i wzorowych popisów, objaśniają załączone fotografje. **Siem.**



*Na prawo: Krysia Wanke, Helenka Dotczanka, Terenia Kozłowska i Wandzia Woińska w malowniczych strojach łowickich (grupa z zabawy karnawałowej w „Collegium Marianum w Poznaniu)*



*Na lewo: Grupa uczenic II i III kl. „Collegium Marianum" w Poznaniu, w stylizowanych kostjumach (w środku x Krysia Wanke).*

JULJUSZ MIEROSZEWSKI



# Agenci szczęścia

NOWELA • ILUSTR. CHARLIE

Linz zatrzasnął za sobą drzwi pokoju. Ciężkim krokiem podszedł do pierwszego fotelu i usiadł zrezygnowany. Zapalił papierosa i spojrzał przed siebie. Przypadkowo znalazł się naprzeciw lustra. Przez chwilę przyglądnął się sobie z uwagą, wreszcie odwrócił głowę z niechęcią i głośno zaklął.

Bilans jego obecnej sytuacji przedstawił się pod każdym względem fatalnie. O godzinie szóstej musi wypowiedzieć numer, albowiem nie ma już pieniędzy, ani na jedną dobę w tym eleganckim pensjonacie. Wydał 800 franków tylko poto, aby się do reszty ośmieszyć.

Zapewne ten głupi Schneider nigdy w życiu nie wymyślił tak kapitalnego scenarjusza filmowego, jak właśnie ten, który on, Linz, zmuszony był przeżyć w ostatnich trzech tygodniach. W jego obecnej sytuacji równie na miejscu był śmiech, jak łzy, albowiem... choć wydaje się to mocno nieprawdopodobne, zakochał się w pannie Perl w trakcie starania się o jej posag. Ponieważ pieniądze były równie potrzebne, jak i miłość, z równą szczerością pożądał wzajemności panny Eti Perl, jak i jej posagu.

Wszystkiemu winien był niewątpliwie Schneider. Kilka miesięcy temu zaangażował go do drobnej epizodycznej rólki w jednej z wiedeńskich komedyjek, jakich realizował dwie lub trzy w każdym sezonie. Linz był bez posady. Możliwości karjery filmowej olśniły go. Przez cztery tygodnie zarabiał po 50 szylingów dziennie i należał do lepiej ubranych mężczyzn ze swej dzielnicy. Niestety po dwudziestuośmiu dniach marzenia filmowe się skończyły. Schneider podał mu sztywno dwa palce i oświadczył, że będzie o nim pamiętał... Może wyłoni się coś w przyszłym sezonie, obecnie jednak pan rozumie...

Linz musiał po czterech tygodniach wyrzucić do kosza setkę wizytówek, którą sobie świeżo obstalował z imponującym napisem: „Hans Linz, Wiedeń, Daimon-Film".

Linz powrócił do babki. Babka Hansa była jedyną kobietą na świecie, która wierzyła w jego gwiazdę. Ta gwiazda wprawdzie jeszcze nie weszła, ale poczciwa babcia wierzyła, że jej wschód jest w każdym razie bliski. Gdyby panna Perl choć w jednej setnej odnosiła się do niego z takim entuzjazmem, Hans byłby dziś zamożnym człowiekiem.

Papa Perl miał gdzieś w okolicach Otkaring fabrykę szmalcu. Panna Perl nie miała jednak nic w sobie z arogancji właściwej ludziom, którzy wędliny wymieniają na tytuł baronowski.

Eti była prześliczną blondynką o brzoskwiniowej cerze i wesołych czarnych oczach. Hans poznał ją na jednym z bali przed kilku tygodniami w czasach, kiedy był jeszcze... gwiazdą filmową. Babka Hansa już dawno przeprowadziła wywiad odnośnie do państwa Perl i ich finansów i oświadczyła Hansowi, że o ile pragnie, aby ziemia austrjacka była dla niej lekką jak puch, musi się ożenić z bogatą panną Eti.

Początkowo wszystko szło jak najlepiej. Panna Perl kokietowała nawet Hansa, a mama zapraszała go na herbatę o piątej. Niestety jednak od wtorku dnia 18 stycznia wszystko się skończyło. Hans popadł w jakieś komedjanckie przekleństwo. Istotnie ów dziwny stan trudno inaczej określić. Od chwili, gdy w dancingu „Paradies" oblał się koktailem (dwa żółtka, kieliszek wermutu, kieliszek pipermentu, łyżka rumu, ćwiartka pomarańczy!), od tej chwili stał się śmieszny. Wszystko, co robił i co mówił, pobudzało towarzystwo do wybuchów niepohamowanej wesołości. Ach, to była poprostu ogólna psychoza. Zaczarowano go w błazna.

Na drugi dzień po tym epizodzie z koktailem, który, prawdę mówiąc, przypominał bardziej jajecznicę niż napój alkoholowy, — został pogryziony dotkliwie w łydkę przez Nexi, która była łagodną i głupią i nigdy nikogo nie ugryzła poza nim. Pragnąc się obronić przed tym rasowym kundlem, Hans kopnął go tak nieszczęśliwie, że wywrócił etażerkę z kaktusami. Wszyscy pokładali się od śmiechu, a on speszony, czerwony, z podartemi spodniami, zbierał kaktusy, walając sobie palce ziemią. I tak bez przerwy. Tym przeklętym jajecznym koktailem wyświęcił się na komedjanta.

Życie naśladuje sztukę — powiedział Oskar Wilde. Nikt tego nie wypróbował lepiej na własnej skórze, jak właśnie Hans Linz. — W chwili, gdy został błaznem i urocza Eti zaśmiewała się na sam jego widok, w sercu Hansa zaczęło kiełkować uczucie do bogatej jedynaczki. Gdyby posiadał piękny głos, możnaby mu zarzucić, że skopjował w życiu główną rolę z opery „Pajace". Kochał się, będąc błaznem.

Państwo Perl przed tygodniem wyjechali do St. Moritz. Hans chodził po Wiedniu jak struty. Wreszcie którejś soboty powiodło mu się zasugestjonować poczciwą babkę i wmówić w nią, że jeżeli umożliwi mu wyjazd na tydzień do St. Moritz, wróci do Wiednia już jako narzeczony panny Perl. Babki miewają różne słodkie tajemnice, które dopiero po ich śmierci wypłaca zwykle notarjusz. Babka Hansa, chociaż uchodziła za ubogą, jak przysłowiowa mysz kościelna, posiadała też swe tajemnice i w przystępie rozrzewnienia wyciągnęła skądś 1000 szylingów i wręczyła je Hansowi.

Żegnany błogosławieństwem młody Linz wyjechał do St. Moritz. Gdy zatrzasnął za sobą drzwi wytwornego pulmanowskiego wozu, poczuł się odrazu innym człowiekiem. Zaczął się sam śmiać z tych wszystkich komicznych epizodów, z których do tej pory śmiali się tylko inni. Obiecywał sobie, że zaimponując pannie Eti Perl swym sportowym, dziarskim wyglądem i prymitywną, ale zato śmiałą jazdą na nartach.

Stanął oczywiście w tym samym hotelu, co mama Perl z córką. 25 szylingów dziennie. Sytuację, jaką zastał, nie można było uznać za korzystną. Obok panny Eti uwijało się ochoczo dwóch gentlemanów. Obaj doskonali sportowcy — narciarze, hokeiści, brydżiści, pełni temperamentu i humoru. Konkurencja nie była żadną miarą łatwa. Lecz Hans postanowił nie zrażać się żadnemi trudnościami. Niestety komedjancki pech prześladował go i na wolnej ziemi szwajcarskiej. Na pierwszej wycieczce narciarskiej zgubił się, połamał narty i dopiero odszukała go po sześciu godzinach ekspedycja, na czele której stali jego rywale.

A w dniu wczorajszym popadł jeszcze w kolizję z honorem. Otóż na meczu hokejowym Kanada—Czechosłowacja Eti dała mu do potrzymania swą torebkę, aby móc oburącz oklaskiwać pewnego Kanadyjczyka, który zdaniem jednego z rywali grał jak „noga". Gdy minęła fala entuzjazmu, okazało się, że torebka zniknęła. Ktoś ją poprostu ukradł — wyrwał z rąk zakochanego Hansa, który zapatrzony w roześmianą twarzyczkę Eti zapomniał o świecie Bożym. Mama Perl oświadczyła, że w torebce córki było 200 szylingów. Cóż było robić — tego samego dnia Hans kupił piękny bukiet i wraz z kwiatami odesłał w kopercie dwa bilety 100-szylingowe.

Tak — a teraz, gdy po krótkiej sjeście objadowej zeszedł nadół do hallu, portjer oświadczył mu, że panna Perl wraz z dwoma panami wyjechała na spacer sankami. Dla niego nie zostawili żadnej wiadomości. Wrócą pewnie późnym wieczorem a tymczasem on za... minut 18-cie musi wypowiedzieć numer i o 8,05 wyjechać trzecią klasą do Wiednia.

Hans siedział w fotelu nawprost lustra i bliski był płaczu. — Pal licho te 800 szylingów — lecz naprawdę on kochał tę małą Eti i ranił go boleśnie ten jej wieczny śmiech. Eti nie traktowała go serjo — ilekroć starał się rozmowę skierować na bardziej poważne tory — panna Perl obracała wszystko w żart.

Nie było żadnej rady! Choćby myślał jeszcze dwie godziny, nic nie wymyśli. Miał w portfelu tylko tyle, aby zapłacić pensjonat i kupić bilet do Wiednia.

Ociężale wstał z krzesła i podszedł do dzwonka. Nim jednak zdążył nacisnąć guzik, ktoś krótko, ale energicznie zapukał do drzwi jego numeru. Hans zawahał się, ale po chwili podszedł i otworzył. Do pokoju wszedł przystojny młody człowiek w narciarskim stroju. Był to jeden z rywali Hansa.

— Dobry wieczór panu! — odezwał się Rollman.

Hans uśmiechnął się kwaśno i mruknął coś niewyraźnie.

Rywal rozejrzał się po pokoju, zapalił papierosa i usiadł na fotelu obok stołu.

— Niech pan usiądzie! — zwrócił się uprzejmie do Hansa.

W Linzu zagotowała się krew. — Ten tuman robi honory domu w jego własnym pokoju! To już przechodzi wszelkie granice!

— Czego pan sobie życzy? — spytał Hans oschle.

— Chciałem panu zwrócić owe 200 szylingów — odezwał się wolno Rollman, wyciągając z kieszeni wolnym ruchem dwa banknoty 100-szyligonwe.

— Nie rozumiem! — wyjąkał Linz zdumiony.

— Torebkę panny Perl ja ukradłem. Ponieważ wiem, że że nie ma pan pieniędzy, wracam panu owe 200 szylingów. Pozatem pragnę panu zaproponować pewien interes.

— Pan się kocha w pannie Eti? — Czy tak?

Hans przetarł oczy — usiadł w fotelu — po chwili znów wstał i uczynił kilka niezdecydowanych kroków.

— Co to ma wszystko znaczyć, panie Rollman...? Ja sobie wy...

— Niech się pan uspokoi! — przerwał kategorycznie rywal. — Zechce pan na kilkanaście minut odrzucić wszystkie przesądy konwenansów i pomyśleć ściśle. Pytam się pana po raz wtóry: kocha pan pannę Eti Perl czy nie?

Głos Rollmana był opanowany i kategoryczny. Linz bezwiednie poddał się suggestji w niej zawartej.

— Kocham ją — odpowiedział po chwili.

— Czy chciałby się pan z nią ożenić? — Tylko proszę odpowiadać ściśle na zadane pytania!

— Tak — odparł Hans, tracąc zupełnie resztki aktywności w tym dialogu.

— Jeżeli pan zobowiąże się pisemnie wypłacić mnie i mojemu przyjacielowi Kern 5 procent sumy posagowej, t. j. 15.000 szylingów w przeciągu roku, licząc od dnia ślubu — a podejmuję się pod gwarancją tak pokierować sprawami, że jeszcze w tym karnawale zostanie pan mężem panny Eti Perl. Zgadza się pan na te warunki?

W Linzu zakotłowało się jak w retorcie. Zerwał się z fotelu i chwyciwszy Rollmana za wyłogi grubego narciarskiego swetra, zaczął krzyczeć, krztusząc się poprostu od wściekłości.

— Wynoś się pan — nędzny złodzieju, szczurze hotelowy, uwodzicielu! — Ja zdenuncjuję pana na policji! Jak pan śmie, jak pan śmie mi proponować!!

Rollman wolnym ruchem oderwał ręce Hansa od swego kołnierza i spokojnie posadził go na fotelu. Był co najmniej trzykrotnie silniejszy od Linza. Hans blady trząsł się z pasji, podczas gdy Rollman z flegmą zapalał papierosa. Wyraz jego twarzy nie zdradzał najmniejszego wzburzenia.

— Uspokój się pan, kochany panie! — rozpoczął miękko. — Widzi pan, na mnie nie robi to najmniejszego wrażenia, bo pan nie jest moim pierwszym klientem. Skojarzyłem już wiele małżeństw, ale złożeniu oferty z mej strony towarzyszy zawsze taka reakcja. Nie mamy jednak tym razem wiele czasu. Kern za trzy kwadranse wróci z Eti ze spaceru — do tej pory musimy się porozumieć. Nie proponuję panu żadnego świństwa. Za 15 procent sumy posagowej — ułatwię panu przestać być błaznem i zaręczam, że serduszko Eti zabije dla pana żywem uczuciem. Chyba, że pan jej już nie kocha i gardzi jej posagiem... w takim wypadku...

— Milcz pan — przerwał Linz. — Kocham Eti jak nikogo na świecie!

— A zatem świetnie się składa.

— No, ale jak... ja właściwie nic nie rozumiem...

— Zaraz pan zrozumie — uśmiechnął się Rollman.

W tym samym momencie zadzwonił telefon. Rollman ujął za słuchawkę.

— Hallo!... Co?? wypadek?? gdzie?... panna Perl...

— Panie, panna Eti uległa wypadkowi — nie mamy ani chwili czasu do stracenia.

Wiadomość ta podziałała na Linza, jak tusz zimnej wody. Zerwał się z krzesła i wybiegł za Rollmanem tak jak stał, bez czapki. Nadole panował już ruch — kilku panów przypinało narty, portjer telefonował po pogotowie. Przed hotel zajechały sanki zaprzężone w parę doskonałych koni. Nim ktokolwiek zdołał się zorjentować, wsiedli do nich i ruszyli z miejsca galopem. Linz tak był przejęty wiadomością o wypadku Eti, że nie przyszło mu na myśl zastanowić się, skąd Rollman tak doskonale jest poinformowany, gdzie właściwie mają jechać.

Minęli w szalonym pędzie elegancki Hotel „Prince of Wales" i po kilkunastu minutach galopady znaleźli się w lasku. Rollman zwolnił nieco tępa i pochyliwszy się w stronę Linza, szepnął mu do ucha:

— Niech pan pamięta: cokolwiek teraz się stanie, będzie pan mówił, że tak było, jak ja i Kern będziemy odpowiadać. Rozumie pan?!!

W tym samym momencie zza zakrętu wypadła para koni. Rollman zatrzymał sanki i wyskoczył. Za nim podążył Linz. Rollman wprawnie zatrzymał konie, uspokoił je i skinąwszy na Linza, wręczył mu cugle.

— Niech pan je mocno trzyma i nie rusza się stąd.

Wydawszy to polecenie, sam pobiegł pędem w stronę zakrętu. Po chwili na drodze ukazały się małe saneczki, ciągnione przez Rollmana i Kerna. Przykryta derką, z obandażowaną głową leżała Eti. Dwaj „rywale" szybko przeprzęgli konie. W tym samym momencie rozległ się tętent i od strony hotelu nadjechały trzy pary sanek. Rollman i Kern obsunęli się bezwładnie na ziemię.

Linz był tak oszołomiony błyskawicznością następujących po sobie wypadków, że stał blady, kurczowo trzymając cugle przy samych pyskach parujących, spoconych koni. Przybyli członkowie drużyny ratowniczej rzucili się równocześnie na Eti i na Rollmana i Kerna. Pierwszy „odzyskał" przytomność Rollman.

— Panowie! — krzyknął, wstając powoli przy pomocy jednego z ratowników. Pan Linz uratował dziś trzy osoby od niechybnej śmierci. Pierwszy ja skoczyłem, aby wstrzymać rozszalałe konie, ale stratowany upadłem. Dopiero on niebaczny na grożące niebezpieczeństwo, rzucił się i nadludzkim wysiłkiem wstrzymał rozhukane zwierzęta.

Eti, która również przyszła już trochę do siebie spojrzała w stronę Linza. On stał zaczerwieniony — zażenowany, mamrocząc coś niewyraźnie...

— — — — — — — — — —

Tego wieczora w hallu pensjonatu o niczem nie mówiono, tylko o tajemniczym wypadku. O 8-mej minut 10 przyjechał niejaki pan Steinmetz, który, ku największemu zdumieniu Linza, opowiedział mrożącą krew w żyłach historję, jak to w zeszłym roku w górach Hans Linz uratował mu życie, odkopując go z pod lawiny. Żaden z ratowników z Heilau nie chciał tego dnia wyruszyć — Linz jednak samotnie wybrał się na poszukiwania i po 10 godzinach odkopał zmarzłego już nieomal na śmierć Steinmetza.

Linz mienił się na twarzy podczas tego opowiadania. Rollman pochylił się jednak w jego stronę i szepnął:

— Milcz pan i potakuj, Steinmetz to mój człowiek!

Koło 11-ej Linz odprowadził Eti do jej pokoju. Panna Perl patrzyła na niego ciepło i przyjaźnie, jak nigdy dotąd.

— Więc jak to było? — spytał Hans — gdy weszli na schody, wiodące na piętro.

— Ach, straszne — szepnęła Eti. — Kern chciał mnie pocałować i wogóle zachował się jak szubrawiec. Zaczęłam się z nim szamotać — w pewnym momencie wypuścił lejce i konie zaczęły nas ponosić. Wówczas on zarzucił mi derkę na głowę. Poczułam uderzenie w głowę — przy obiedzie dużo piłam — a przyznam się panu, że i w sankach mieliśmy koniak tak, że kręciło mi się w głowie. No, a potem to sama nie wiem. — musieliśmy uderzyć o słup, skoro Kern wyleciał z sanek. Raz zatrzymaliśmy się. Kern przyłożył mi chusteczkę z śniegiem i wlał mi przemocą do gardła niemal pół flaszki koniaku. Znów mnie nakrył kocem... a potem to już nic nie wiem co się stało...

— Hm... — westchnął Linz.

Eti patrzyła na niego ciepło swemi czarnemi oczyma.

— Eti... — szepnął Linz — Eti kocham cię, ty wiesz...

Dziewczyna zarzuciła mu ręce na szyję.

— Jak mogłam się wahać! Jakiś ty szlachetny i odważny Hans! A tamci... — wydęła pogardliwie wargi — to obrzydliwcy...

——O——



*— Co to wszystko ma znaczyć?...*

# 6 MINUT MIĘDZY NIEBEM A ZIEMIĄ




*Pamiątkowa plakietka kolejki linowej na Kasprowy Wierch.*

*Na prawo: Imponujący widok, jaki roztacza się ze stacji na Myślenickich Turniach, na trasę kolejki linowej.* Fot. „As“.



„Co ma wisieć — nie utonie“ — powiedziało sobie Zakopane i zbudowało kolejkę linową na Kasprowy Wierch.

Przez długie miesiące, ba, lata całe, walczyło z nieprzepartym uporem i niezłomną siłą woli o zrealizowanie swego planu, poczem, starłszy na proch sprzeciw „ochroniarzy“, plan ten wykonało w przeciągu kilku zaledwie miesięcy, w iście amerykańskiem tempie. Nie „utonęła“ kolejka linowa



*Uczestnicy wycieczki dziennikarzy krak., z redaktorem Janem Stankiewiczem na czele (pierwszy od prawej) w momencie wsiadania do wagonika kolejki linowej, na stacji wyjazdowej w Kuźnicach. (Fot. „AS“)*

w morzu swarów i sporów dwu zwalczających się obozów, z których zwyciężyć musiał ten, co szermierzył w imię naprawdę słusznej sprawy. I dziś „wiszą“ jej wagoniki na potężnej linie nośnej, posuwając się po niej to w górę, to w dół, tam i z powrotem...

Narazie „pracują“ tylko na przestrzeni pierwszego odcinka trasy: Kuźnice-Myślenickie Turnie. Za 10—14 dni zdążać będą do właściwego już celu: na Kasprowy Wierch.

Zgrabne, ładne w swej opływowej formie i w swej srebrnawej barwie wagoniki posuwają się po linie dziwnie cicho, niemal bezszelestnie, jakby na przekór tym wszystkim, którzy wyszukując wszelkie możliwe argumenty przeciwko budowie kolejki wysuwali m. i. „mocny“ argument „zbrodniczego zakłócenia ciszy w górach“. A tymczasem nic nikomu niczego nie zakłóca i nie mąci.

Mają w sobie te wagoniki jakąś majestatyczną dumę. Zdają się jakby mówić szeptem, szanującym ciszę gór:

— Myśmy tu pierwsze! Pierwsze w Polsce!

Jak wiadomo, istotnie Polska była dotąd w tej dziedzinie bardzo zacofana w stosunku do innych górskich krajów europejskich, które wszystkie pobudowały w ostatnich czasach kolejki linowe, dostosowane do potrzeb ruchu turystycznego. Jest tych kolejek linowych w Europie ponad 70. (Warto wymienić choćby najważniejsze, jak w Austrji: na Hafelekar i Patscherhoffel (Innsbruck), na Rax, Feuerkogel, Zugspitze; w Niemczech: na Kreuzeck i Wank (Garmisch), Zugspitze, Nebelhorn (Oberstdorf); we Francji: na Brevent (Chamonix); we Włoszech: w Sestieres i w Cortina d'Ampezzo.

Budowa kolejki linowej na Kasprowy Wierch wpłynęła odrazu zadziwiająco na fizjognomję samego Zakopanego. To, co się dzieje od kilku dni tam, w górze, za Kuźnicami, nadaje nowe piętno ludziom i ulicom zakopiańskim „na dole“. Ludziska przestali narzekać i na „halniaka“ i na deszcze, które bezlitośnie w końcu lutego psuły wszystkie szyki narciarzom. Przestało się mówić o złym tegorocznym sezonie zimowym i o kryzysie, a mówi się o... kolejce. Magiczne to słowo wypiera wszystkie inne tematy. Rozbrzmiewa na ulicy i w kawiarni. Wplata się w flirt w pensjonatach, rozpala niespodziany błysk zainteresowania w zasnutych mgłą smutku oczach chorych w sanatorjach, pada co chwilę nawet przy stolikach brydżowych w „Klubie“ wśród „wielkich szlemów“, „koronek“, „bezatu“...

Po ulicach jeżdżą (płyną! „sznurkiem“ autobusy P. K. P.-owe i miejskie i auta prywatne, wszystko w stronę Kuźnic. „Spotkamy się przy kolejce!“ — to słowa, któremi ludzie żegnają się dziś z sobą od rana do zmierzchu. Bo ta kolejka to dziś powszechna sensacja, to hasło dnia.

Przy budynku stacyjnym w Kuźnicach ruch niebywały. Młodzież i starsi, sporo nawet dzieci, uczepionych do płaszczy matczynych. Typy i stroje wszelkiego autoramentu. Narciarze z „deskami“ na ramieniu, którzy pragną podjechać do Turni Myślenickich, by stamtąd odrazu puścić się na śnieżne tereny i „cywile“ w strojach miastowych, chcący tylko zaznać emocji samej jazdy, choćby dlatego tylko, by móc po powrocie do miasta „epatować“ bliźnich powiedzeniem: „Jeździłem(łam) kolejką linową!“. Niemało przedstawicieli „mniejszości narodowych“ o minach triumfatorów, którzy mogą poszczycić się swą odwagą... Od czasu do czasu w gwarze rozmów słychać i obce języki: niemiecki, francuski, węgierski. Snać zaczynają się już interesować naszą kolejką i cudzoziemcy.

Na platformie, gdzie krzyżują się ci, którzy już wracają „z góry“ z tymi, co czekają dopiero na wagonik, posłyszeć można takie urywki wymienianych zdań:

— Co za widok! Istna bajka!... Góry w dali, jak na dłoni...

— Czy prawda, że tam na Turni taka dziś mgła, że nic wogóle nie widać?

— Czy to bardzo huśta?... Moniek mówił, że już przy pierwszej podporze można dostać morskiej choroby?

— Blaga! To żadna emocja!... Lezie pomału, jak tramwaj krakowski... Ja wolę „ruczban“ w Praterze...

— Mamusia mówiła, że pojedziemy w górę kolejką, a czemu tu nie widać ani szyn, ani żadnej lokomotywy?

— Ten inżynier w tyrolskim kapelusiku, który nas objaśniał tam, przy maszynach, na Turniach, to byczy chłop! Z Wilna. Od kilku miesięcy kierował robotami na Kasprowym i podobno codzień, po skończonej robocie, wieczorem, schodził sobie z laską w ręku, jakby nic, z Kasprowego na Krupówki, siedział sobie u Trzaski do 3-ej, 4-ej rano i potem znów, jakby nic, wracał piechotą na Kasprowy do dalszej roboty. Ma chłop zdrowie, co?!

— Ach! Cudo ten konduktor! Ta biała kurtka! Te złote guziki!... Ta czapka!... Takiego mieć narzeczonego i z takim choć raz przejść się „pod rękę“ po A-B!

A wagoniki, tymczasem, posuwają się po linie, to w górę, to w dół, tam i zpowrotem, dziwnie cicho, bezszelstnie. W szary, mglisty dzień wyglądają z daleka, jak duże zabawki, któremi rzucają do siebie w powietrzu olbrzymie łapy olbrzymów górskich...

Ładne, srebrne wagoniki wiszą na linie. „Co ma wisieć — nie utonie“ — powiedziało sobie Zakopane. I ma kolejkę linową!

**Zofja Lewakowska.**

# WSPOMNIENIE HELLADY

## W STOLICY U. S. A.



Fasada gmachu Pałacu Sprawiedliwości widoczna na lewo, na drugim planie budynek bibljoteki Kongresu.

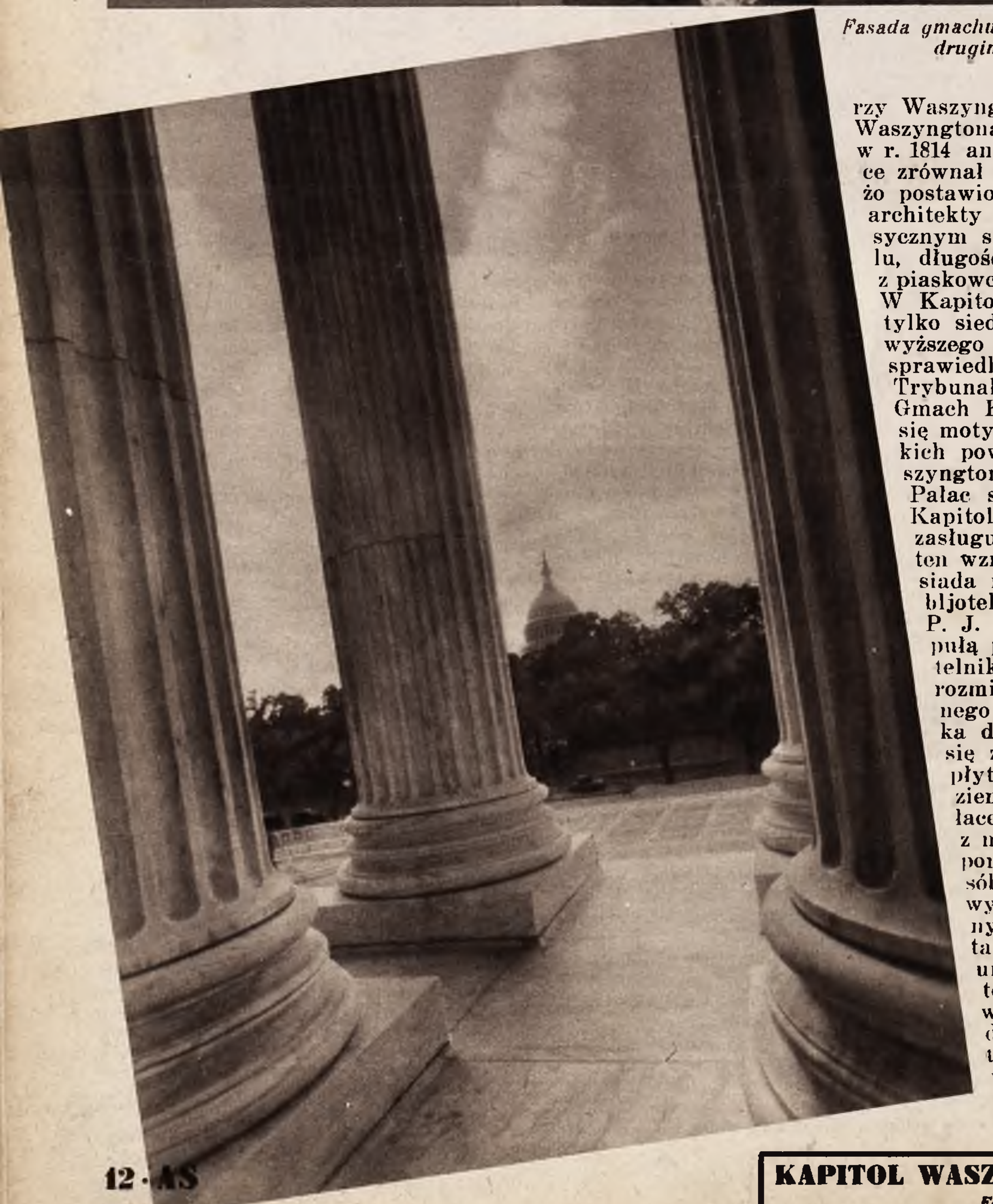
Waszyngton ze względu na swą architekturę jest najbardziej europejskiem miastem Stanów Zjednoczonych. Podczas, gdy inne miasta trawione gorączką życia, amerykanizowały się urbanistycznie, to jedynie rezydencja rządu posiada swą własną linję i motyw architektoniczny, utrzymany w czystości do dnia dzisiejszego. Piękne to miasto założono w r. 1791 przy zlewisku rzek Potomac i Anacostia. Podobnie jak dziś w Australji, gdzie wzniesiono rezydencję w bezludnej części kraju, tak też i Waszyngton powstał jako rezydencja prezydenta Stanów Zjednoczonych. Kamień węgielny pod budowę Kapitolu poświęcił według ceremonjału masońskiego pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych, Jerzy Waszyngton. Od czcigodnego nazwiska prezydenta Waszyngtona miasto wzięło swą nazwę. Niestety już w r. 1814 angielski admirał Cockburn w krwawej walce zrównał z ziemią republikańską rezydencję z świeżo postawionym Kapitolem. W r. 1851, według planu architekty Tomasza Waltera, wykończono w neoklasycznym stylu nowy monumentalny gmach Kapitolu, długości 229 m, z kopułą wysokości 95 i pół m, z piaskowca i marmuru, kosztem 16 miljonów dolarów. W Kapitolu mieściła się do ostatnich czasów nietylko siedziba władz kongresu i senatu, ale i najwyższego sądu. Dopiero obecnie wybudowano pałac sprawiedliwości, miejsce urzędowania najwyższego Trybunału Stanów Zjednoczonych.

Gmach Kapitolu i empirowy Białego Domu stały się motywem przewodnim dla architektury wszystkich powstających w późniejszym okresie w Waszyngtonie budynków władz państwowych.

Pałac sprawiedliwości zbudowano w sąsiedztwie Kapitolu oraz gmachu Bibljoteki kongresowej, zasługującej również na omówienie. Budynek ten wzniesiony kosztem 10 miljonów dolarów, posiada najdoskonalsze techniczne uposażenie. Bibljotekę zbudowano w r. 1898 według planów P. J. Pelza w stylu odrodzenia z centralną kopułą ponad salą, mieszczącą 250 miejsc dla czytelników. Księgozbiór obejmuje 2 miljony dzieł, rozmieszczonych w magazynach. Do wewnętrznego urządzenia gmachu nie użyto ani kawałka drzewa, nawet półki bibljoteczne składają się ze stalowej konstrukcji i marmurowych płyt. Gmach bibljoteki połączony jest podziemnemi korytarzami z Kapitolem, oraz z pałacem sprawiedliwości. Książki wydaje się z magazynu na telefoniczne zamówienia przy pomocy pneumatycznej poczty. W ten sposób już w ciągu 10 minut żądana książka wylatuje z magazynu w naboju pneumatycznym i znaleźć się może na biurku prezydenta Stanów Zjednoczonych, lub wyższych urzędników, pracujących w gmachu Kapitolu, lub pałacu sprawiedliwości. Nowo wzniesiony kosztem dziesięciu miljonów dolarów pałac sprawiedliwości posiada patetyczny, reprezentacyjny akcent, jak wszystkie gmachy tego typu, zbudowane w połowie XIX wieku w Europie.

Do tego okresu sądy mieściły się bądź to

Poniżej: Widok z kolumnady marmurowej pałacu na park i wieże Kapitolu.



**KAPITOL WASZYNGTOŃSKI W OKOWACH ZIMY**

*Fot. New Jork Times — Londyn.*





*Wnętrze sali rozpraw Najwyższego Trybunału, w głębi widać dziewięć miejsc dla dziewięciu członków Najwyższego Trybunału Sprawiedliwości.*

w pałacach królewskich, bądź w ratuszach, lub siedzibach władz duchownych. Rewolucja francuska przywróciła sądom samodzielność i powagę.

Współczesność przejęła razem z rzymskiem prawem, rzymską formę architektoniczną dla gmachów sądowych. Jest nią bazylika, wywodząca swój początek z Aten. Do dnia dzisiejszego na Forum Romanum w Rzymie znajdujemy ślady pierwszych bazylik sądowych, a więc Bazylikę Porcia z r. 184 przed Chr., Aemilia, Sempronia i Julia. W Atenach pierwszą bazylikę wybudował Archon Basileus. Jest to gmach o prostokątnem założeniu, otoczony kolumnadą o doryckim, korynckim lub jońskim porządku. Od bogactwa fundatorów, cezarów, czy konsulów zależała ilość kolumnad, wystawność oraz rozmiar budynków.

Chrześcijaństwo zużyło w pierwszym okresie sądowe bazyliki dla swoich liturgicznych celów, a ich forma stała się przewodnią, dla świątyń stawianych w epoce romańskiej i odrodzenia w Rzymie. Architekci XIX wieku, otrzymawszy zadanie budowy gmachu reprezentacyjnego, pokazującego powagę demokratycznego ustroju państwa, przejęli wspomniany typ starorzymski. I tak w całej Europie w połowie XIX wieku powstają gmachy, oparte na antycznem założeniu, jak pałac sprawiedliwości w Paryżu, w Lipsku, czy Hadze. Formę tę zdegenerowano w Brukseli, gdzie w r. 1883 wzniesiono gigantyczny, górujący nad miastem, budynek według planów Polaerta. W tym kolosie architektonicznym 9/10 przestrzeni wypełniają westibule, korytarze, klatki schodowe, a zaledwie 1/10 zużyta jest na celowe urządzenie kilku niepozornych sal sądowych. Jest to najbardziej ujemny przykład przerostu reprezentacyjności w architekturze.

Gmach sprawiedliwości w Waszyngtonie zaprojektowano z szlachetnym umiarem, opierając się na założeniu greckich świątyń i rzymskiej bazyliki.

Amerykańscy architekci dostosowując się do neoklasycznych, urbanistycznych motywów, obowiązujących tradycyjnie w Waszyngtonie, wykonali nowe dzieło, również o naśladowniczym charakterze, lecz wykonane solidnie, z najszlachetniejszych materjałów, jak marmur i bronz.

Naśladowczą również ideą powodował się mecenas sztuki, przyjaciel Ryszarda Wagnera, Ludwik II. król bawarski, rozbudowujący swoje Monachjum w stylu klasycznym. Mniej więcej w tej samej eklektycznej epoce, budowano w Monachjum wierne kopje propylei, rzymskiego łuku triumfalnego Tytusa, loggii degli Lancii, z Florencji, gliptotekę i halę wystawową w stylu greckiej świątyni, a nawet romańską bazylikę.

Zamiłowanie współczesnej Ameryki do stylów klasycznych jest niewątpliwie odprężeniem nowoczesnej myśli artystycznej, wpadającej często w skrajności lub ekstrawagancję modernizmu. Wprawdzie znakomici amerykańscy architekci umiejętnie poszukują nowego monumentalnego stylu, wyłaniającego się z nowej konstrukcji i doskonałości technicznych materjałów, lecz gdy chodzi o urok reprezentacyjności, to powracają do form minionych epok. Stąd współczesna Ameryka chcąc wyrazić hołd i stworzyć apoteozę idei „Justicia fundamentum regnorum", używa w swej stolicy starej i pewnej recepty Hellady i Romy.

**M. Dienstl Dąbrowa.**





*Od lewej: Widok z tarasu obiegającego skrzydła gmachu. — Płaskorzeźby przedstawiające sceny z dziejów prawodawstwa.*



***Na lewo: Wjazd do podziemnego garażu dla samochodów, którymi przybywają do Pałacu Sprawiedliwości sędziowie i uczestnicy rozpraw.***



***Poniżej; Czterech robotników wnosi jeden dywan do wnętrza gmachu.***



# „ENFANT TERRIBLE"
# rodziny Churchillów.





*Na lewo: Herb książąt Marlborough.*



*Na lewo: Miss Sarah Churchill.*

Dziwna rodzina ci Churchillowie: uparci, dziwacy, inteligentni, wpadający z jednej ostateczności w drugą a jednak konsekwentni, od stóp do głów gentlemani a nieliczący się z pozorami! Zjawili się na horyzoncie historycznym Anglji ze słynnym wojownikiem Johnem Churchill, księciem of Marlborough i markizem of Blandford, suwerennym księciem zu Mindelheim, w Szwabji, który syt sławy wojennej, zaszczytów i pieniędzy (zostawił ponoć 2 milj. funtów szterlingów), zmarł w r. 1722, zostawiając wielkie nazwisko i majątek swej córce Annie, żonie Karola Spencera, trzeciego hrabiego of Sunderland. Początek karjery tej rodziny był dość dziwny: John Churchill zdobywa laury pod Malplaquet a siostra jego w... pokoju sypialnym Jakóba II, żona zaś wkrada się w łaski królowej Anny! Potomek pierwszego księcia, John, siódmy książę Marlborough, żonaty z lady Frances Vane z domu markizów of Londonderry, krewną znanego ministra lotnictwa, pozostawia syna Randolpha, który znów zwraca uwagę Anglji i całego świata na swój ród. Mając lat piętnaście, wygłasza w Eton-College mowę polityczną, w kilka lat później rozgrywa partję szachów z mistrzem świata Steinitzem, miał stajnię wyścigową i wiele podróżował. W Izbie Gmin przyłącza się do skrajnych konserwatystów. Jego powiedzenie: „bardziej na prawo odemnie jest już tylko ściana", obiega całą Anglję. Ceni go stary lord Beaconsfield i zadziwia on wszystkich. Skrajny konserwatysta, w dziedzinie ekonomicznej zdradza wielki radykalizm. Żąda w parlamencie opodatkowania bogatych, budowy domów dla robotników, 8-godzinnego dnia pracy, rzeczy naówczas niebywałej. Arystokrata z krwi i kości, jest równocześnie „enfant terrible" swej sfery, co zapieczętował jeszcze swem małżeństwem z panną Jerome, Amerykanką, córką awanturnika-dziennikarza. W ten sposób z krwią „świetnego Anglika", jak nazywano zwycięzcę z pod Malplaquet, zmieszała się krew nowoczesnych rycerzy bussinessu.

Nie odbiega od charakteru swego ojca i przodków, Winston Churchill, syn Randolpha. Jako młody człowiek, jedzie na Kubę tylko dlatego, że wybuchła tam właśnie jedna z wielu rewolucyj, a Winston chciał koniecznie powąchać prochu! Walczył również w Sudanie, a poznawszy dobrze jej tło i kulisy, opisał ją nadwyraz barwnie w książce „The River War". Był oczarowany poezją wschodu, nie szczędząc nieraz ostrych uwag swym rodakom. Wkrótce bierze udział w wojnie z Boerami. Przeżycia swe opisywał w „Morning Post", zyskując sobie olbrzymią popularność. Wszedłszy jako konserwatysta do parlamentu, próbuje przeprowadzić w swej partji różne reformy i wzbudza, jak swego czasu jego ojciec, istną burzę protestu. Dalsze jego dzieje należą już do naszych czasów: był ministrem handlu, kanclerzem skarbu, odegrał dużą rolę w wojnie światowej jako reorganizator floty brytyjskiej, obecnie ma zreorganizować uzbrojenie W. Brytanji. Ale jak i ojciec i pradziad, burzliwa krew jego zawsze kazała mu ciągle zwalczać kogoś, atakować, obrażać i stawać się „centre of attaction" angielskiego życia politycznego. Zwrotka starej wojskowej piosenki francuskiej „Marlborough s'en va-t'en guerre" — snać dobrze charakteryzuje tę dziwną i wojowniczą rodzinę, skoro i córka Winstona Churchilla, urocza miss Sarah Churchill, rzuciła rękawicę poglądom, panującym w jej sferze i wstąpiła na deski rewjowego teatrzyku! Dodać trzeba, że i syn Winstona, Randolph, również jest politykiem i odniósł niejeden sukces.

Ale, jak to bywa u bardzo starych i wielkich rodów, nie ma dla Churchillów rzeczy, któreby im nie uchodziły... na sucho i którychby nie czynili z gracją. „Wnuczka księcia Marlborough na deskach teatralnych! Urocza miss Sarah tańczy w kabarecie! Córka ministra aktorką!" — takie i tym podobne nagłówki artykułów prasy światowej bynajmniej nie wpływają na decyzję miss Sarah i jej dobry humor. W „Adelphi Theatre" wystąpiła w rewji „Follow the Sun" Cochra

(Dokończenie na str. 16-ej).

***Poniżej od lewej: Winston Churchill i jego syn Randolph, dwaj znani politycy angielscy.***








*Zespół baletowy rewji Cochrana w Londynie, w którym występuje Sara Churchill.*

*(Dokończenie ze str. 15-ej).*

ne'a, jako statystka, ale nie zrażona tem skromnem stanowiskiem, oświadczyła dziennikarzom, że zamierza iść obraną raz drogą. Pani Churchill, matka, wraz z starszą córką mrs. Dianą Sandys, przyglądały się występowi Sary i pierwsze złożyły jej serdeczne życzenia. „Nigdy tyle nie otrzymałam telegramów, co tym razem“ — oświadczyła Sara. Nic dziwnego, że była w dobrym humorze — postawiła na swojem, zyskała sobie popularność, jak to zwykle bywa w Anglji, gdy widzą energiczną, ambitną jednostkę, przezwyciężającą trudności, by dojść do celu i raz jeszcze pokazała londyńskiemu high-life'owi i całej Anglji, co umie krew wielkiego Johna Churchilla, gdy się przy czemś uprze! — Upór u pięknych kobiet bywa zazwyczaj uroczy: i tym razem piękna twarzyczka 21-letniej Sary uśmiechem swym i rozbawioną minką umiała rozbroić najbardziej srogich i etykietalnych lordów.

Niewiadomo, czy zacni przodkowie miss Sary przewracają się z oburzenia w grobie z powodu jej występów w „Adelphi Theatre“, ale muszą w każdym razie przyznać, że tak, jak oni, rzuciła odważnie rękawicę światu. „Marlborough s'en va-t'en guerre“ raz jeszcze się sprawdziło!

**Jan Maleszewski.**





*Na lewo: Tancerka Meade, pochodząca z wysp Bahama, jedna z gwiazd zespołu Cochrana.*

*Wspaniały zespół kubański, najbardziej atrakcyjny numer ostatniej rewji Cochrana w londyńskim „Adelphi Theatre“.*

*Fot. Leadlay-Dallison — Londyn.*

# MIASTO POD PIRAMIDAMI

Egipt po długim śnie, w którym pogrążony był przez całe tysiąclecia, obudził się znowu do samodzielnego życia i z punktu stał się ośrodkiem niepokojów politycznych. Oczy Europy zwrócone są na kraj Faraonów, gdyż tam rozgrywa się jeden z aktów walki Wielkiej Brytanji o panowanie nad Afryką.

Kair, stolica Egiptu, to dziwne połączenie przeszłości z teraźniejszością, wschodu z zachodem, co jednak wszystko razem tworzy harmonijną całość.

Niema rozgraniczenia na dzielnice europejskie i arabskie: sąsiadują kościoły z meczetami, wspaniałe hotele z magazynami wschodnich dywanów, pierwszorzędne francuskie magazyny ze sklepami osobliwości egipskich, opera z kawiarnią arabską, gdzie przy ustawionych na trotuarze stolikach, siedzą Arabowie, paląc olbrzymie, o ziemię oparte fajki; banki, biura podróży, dancingi, jakich nie powstydziłyby się stolice europejskie, a obok cukiernie arabskie, gdzie smażą się ogromne tłuste ciastka i palą kadzidła. Szerokie, asfaltowane, wysadzane drzewami ulice, pełne są bogatych wystaw, przyciągających przechodnia wyrobami z Europy i Wschodu. Sunące bezustannie samochody, mijają różnobarwny tłum, strojne Europejki i śpiących na ulicach Arabów.

Wśród mieszkańców przeważają Arabowie, dużo jest jednak Anglików, Francuzów i Greków, trochę Rosjan, Włochów i Niemców, no i niewielka kolonja Polaków.

Oprócz języka arabskiego, panującym jest język francuski, którym porozumieć się można w całym Egipcie — wszelkie napisy widnieją w tych dwóch językach. Większość Egipcjan zna również język angielski, ale używają go w razie konieczności, unikając go celowo. Król Fuad ma u boku Anglika, „Wysokiego Komisarza", narzuconego mu przez rząd angielski i bez jego „porady" nie ma prawa nic ustanowić we własnym kraju. Będąc chorym i starym, chce, by na tronie zasiadł jego nieletni syn i panował wraz z radą regencyjną. Lecz niewiadomo, czy zgodzi się na to Anglja. Gdy na „Alasharze" — akademji arabskiej w Kairze, wybuchły wśród młodzieży rozruchy, momentalnie wmieszał się w to Wysoki Komisarz, czując zresztą trafnie, że tło jest antyangielskie. Wizy wjazdowe do Egiptu, wydał nam konsulat angielski w Tunisie. Pod Kairem stoją hangary z angielskiemi samolotami, na cytadeli straż trzyma gwardja szkocka, w swych krótkich spódniczkach. Na każdym kroku spotyka się żołnierzy angielskich, ale tylko w pierwszorzędnych lokalach, w kinach na najlepszych miejscach, w pociągu w pierwszej klasie, choćby nawet przebranych po cywilnemu. W pustyni, spotkać można ćwiczące na białych wielbłądach wojsko angielskie. Ale pozatem... Egipt jest niepodległy!



*Egipcjanki noszą, zwłaszcza na prowincji, kwef w postaci nakrycia głowy i dolnej części twarzy.*

Handel i przemysł znajduje się głównie w rękach Egipcjan, zwłaszcza jego najważniejsze gałęzie, jak bawełna i trzcina cukrowa; czerpali oni stąd do niedawna olbrzymie dochody, bogacąc się niesłychanie. Stawiali sobie wspaniałe pałace, o luksusie, w który trudno uwierzyć Europejczykowi: kryształowe szyby, złocone klamki, posadzki z bezcennego drzewa. Zbywające pieniądze składali w bankach bezprocentowo, gdyż religja mahometańska zabrania pobierania procentów. Do ogólnego bogactwa przyczyniło się też minimalne opodatkowanie i zupełna swoboda w zarobkowaniu. Właściwie płaci się tylko podatek gruntowy, od handlu opłaty są minimalne. Sklepy jedni zamykają w piątki, drudzy w soboty, inni w niedzielę, są i tacy, co nigdy nie zamykają. To samo jest z przerwą południową, a wieczorem trafiają się magazyny otwarte i do 10-tej.

Niema bezrobotnych, zapobiega temu bardzo rozwinięte rękodzielnictwo. W dzielnicach arabskich, całe uliczki zajęte są przez pracujących Arabów: kleją ozdobne szkatułki, szyją skórzane torby i poduszki, haftują pantofle, rzeźbią w srebrze rozmaite ozdobne przedmioty. Zawsze i wszędzie widzi się tylko pracujących mężczyzn, czy w przemyśle, czy w handlu, czy wreszcie jako służba domowa — kobiety pracujące spotyka się tylko w polu na roli. Pewne działy, jak konfekcja damska i męska, perfumerje, fryzjernie, apteki, duże hotele i restauracje są w rękach Anglików, Francuzów i Greków. Ale obecnie, rząd egipski ogranicza bardzo napływ cudzoziemców. Nie wolno cudzoziemcowi zarobkować i nie wolno kupować ziemi, ani budynków. Mimo kryzysu, który w Egipcie dał się we znaki, gdy spadły ceny bawełny i zachwiali się kapitaliści, jest jeszcze wielka łatwość życia i zarobkowania.

Naturalnie, że oprócz ogólnie panującego dobrobytu, natrafia się na skrajną nędzę, jest jej jednak mało. Żebraków stosunkowo spotyka się rzadko i to z reguły kaleki. Natomiast wło-

*Oto miejsce, w którem kanał Suezki łączy się z morzem Czerwonem.*



*Stara cytadela w Kairze.*



czą się masami obdarte dzieci, powtarzające do znudzenia słowo: „bakczysz". Ale są i dzieci zarabiające praca — to czyścibuty. Małe, brudne, lecz śliczne chłopaczki, niosące na rzemyku swe pudełko z pastami i szczoteczkami są istną plagą przechodniów.

W hotelach luksus, o jakim się nie śni w Europie. Alabastry, mozajki, bezcenne boazerje, kryształowe ample. W hallach szemrzą fontanny, gdzieś z ukrycia płynie muzyka. Bezszelestnie porusza się tubylcza służba, wyłącznie męska, ubrana w długie białe „galabije", spięte czerwonemi pasami, w czerwonych na głowach „tarbuszach" i arabskich pantoflach. Płaci się słono za ten przepych, pomimo to przepełnione są hotele Amerykanami i Anglikami. Przed hotelami wystają młodzi, piękni jak bóstwa przewodnicy — Arabowie. Strojni w jedwabne suknie, noszą z najczystszego jedwabiu w kolorowe paski, na wierzchu w tym samym kolorze szeroki sukienny płaszcz, przodem roztwarty, o szerokich rękawach. Często na ramieniu mają przerzucony jedwabny szal. „Tarbusz" lub piękny zawój na głowie i barwny pas, uzupełniają strój. Wygoleni, pachnący, mówiący świetnie językami, czekają tu na cudzoziemców, a raczej cudzoziemki, stare bogate Angielki i Amerykanki, którym służą za przewodników na dalekich samotnych wycieczkach, starając się za odpowiednią opłatą dostarczyć im przeżyć wszelkiego rodzaju.

Kin posiada Kair wiele, dużych, pięknie urządzonych, o rozsuwanych dachach. Obok tych gmachów ogródki, w których latem ustawia się ekran, gdy wnętrza stają się zbyt duszne. Filmy sprowadzają najnowsze, które w parę miesięcy potem oglądać można w Polsce. Oglądaliśmy mało znaczne wydarzenia z najmniejszych państw Europy, z zapadłych zakątków Azji, tylko nigdy z Polski. Czyż nasze wytwórnie filmowe, nie mogą postarać się o to, by choć czasem pokazać światu, malownicze okolice naszego kraju, wydarzenia sportowe i polityczne? Byliśmy raz na egipskim filmie, jednym z pierwszych. Dziesiąta muza jest tam jeszcze w powijakach. Dekoracji dostarczyły muzea, a zatem były oryginalne i przepiękne, lecz gra artystów i treść niby historyczna była bardzo naiwna, a całość na poziomie naszych jasełek. Publiczność miejscowa, przyjęła ten film z wielkim entuzjazmem, z oklaskami i głośnem cmokaniem (nawyk Arabów).

Opera jest czynna tylko przez miesiące zimowe. Przyjażdża na ten okres trupa artystyczna z Francji. Ceny miejsc wygórowane. Na widowni smokingi i toalety balowe. Największem powodzeniem cieszy się „Aida", dzięki swym niezastąpionym kostjumom.

Prócz muzeum arabskiego, gdzie zgromadzono wiele przepięknych przedmiotów, jak lamp, stolików, całych namiotów, makat, ubiorów, monet i tym podobnych cudów, zachwyca i zdumiewa swym ogromem i bogactwem nowo wybudowane muzeum, gdzie archeolodzy i badacze staroegipskiej kultury, umieścili wykopaliska starożytnych świątyń i grobów. W tym jednopiętrowym gmachu, poustawiano na dole posągi faraonów, bogów i czczonych zwierząt. Ileż plastyki i wyrazu mają te rzeźbione w granicie i w alabastrze olbrzymy! Piętro przenaczono na zbiór mumij, oraz skarbów wydobytych z grobu Tutankhamena. Był to jedyny grobowiec jaki odnaleziono nietknięty. Dziwnym zbiegiem okoliczności, ocalał od grabieży współczesnych kapłanów, którzy mając w swej pieczy grobowce, zwykle już bezpośrednio po pogrzebie ograbiali je bez miłosierdzia. Obecnie wydobyte stamtąd skarby, dają pojęcie o nieprzebranych bogactwach faraonów. Wystarczy powiedzieć, że ogółem wydobyto z



Kolosalna statua kamienna Ramzesa II w Memfis.

*Poniżej: Fragment z podróży po pustyni.*





Arab na wielbłądzie stanowi żywy symbol romantyki pustyni.



*Piramida schodowa w Saccaza.*

grobowca przeszło 600 kg złota! Podziwiamy szereg sal ze szklanemi gablotkami, w których umieszczono laski hebanowe, szczerozłote, lub z kości słoniowej, wspaniałe wachlarze ze strusich piór zachowane doskonale, moc naczyń i figur alabastrowych. Krzesła złocone lub obite skórą, na których malowano sceny z życia króla. Osobno rozstawiono rydwany złocone i przedziwnie niziutkie łoża. Z pod szkła widnieje czarny pukiel włosów młodzieńczego króla.

Biżuterje żony Tutankhamena, pochowanej wraz z nim, umieszczono w osobnej sali, ze względu na kolosalną ich ilość. Poukładano w gablotkach złote naszyjniki, kolce, pierścienie gęsto wysadzane drogiemi kamieniami.

Sam sarkofag Tutankhamena ustawiony jest pod szkłem w osobnej salce, olbrzymi, szczerozłoty, na którym wiernie odtworzono jego piękną młodzieńczą twarz, o cudownych podłużnych oczach. Po drugiej stronie, ustawiono grubo złocony sarkofag słynnej z piękności żony Tutankhamena — królowej Nefretete.

Musiał zginąć młodziutki faraon, zbyt bowiem był postępowy, wyłamywał się z pod przemożnej władzy kapłanów, chciał podobno zachwiać wiarą w bogów. Został otruty, wraz z piękną i młodą królową. Teraz tylko ich wizerunki, zachwycają w muzeum i wzruszają młodością i urodą. Dziwnie plastycznie odczuwa się w obliczu tych zabytków wielkość tego kraju, który dziś przekształca się powoli w kraj „cywilizowany" w guście europejskim.

**Marja Drzewińska** (Kair).

Jedną z najpiękniejszych świątyń w Kairze jest El Muayod.



# DZIAŁ FILATELISTYCZNY

*Z niniejszym numerem wprowadzamy w naszem piśmie stały dział poświęcony filatelistyce. Będziemy informować naszych Czytelników nietylko o wszystkich nowościach, ukazujących się obecnie w ogromnej ilości, ale i poważniejsi zbieracze znajdą tu artykuły na tematy poważne i aktualne.*

*Przypuszczamy, że dział filatelistyki*




*Najnowsza serja znaczków łotewskich, która została ostatnio wydana (zbiory dyr. Landau'a)*

*znajdzie licznych zwolenników i żywimy niepłonną nadzieję, że pomiędzy Czytelnikami „Asa" z jednej, a redakcją z drugiej strony zostanie nawiązany ścisły kontakt. Prosimy więc wszystkich o nadsyłanie swych uwag i życzeń pod naszym adresem. Zamierzamy ogłosić ankiety na szereg zagadnień z naszej dziedziny, będziemy reprodukowali wszystkie ciekawe okazy filatelistyczne, o których nadsyłanie prosimy, a początkujący znajdą tu rady i wskazówki.*

*W najbliższym czasie zamieścimy artykuł p. t. „Król Jerzy V jako filatelista".*

## NOWE ZNACZKI

Filateliści nie mogą się obecnie uskarżać na brak atrakcji, jakiemi są dla nich bezustannie ukazujące się nowości. Zainteresowanie polskiego zbieracza obejmuje przedewszystkiem kraje środkowo-europejskie, ale nawet i tu nie można nadążyć za maszynami drukarskiemi ministerstw poczt. Przyznać natomiast trzeba, że postęp, jaki się widzi w technice druku i doborze tematu może zadowolić nawet najwybredniejszych krytyków.

**Austrja** zwłaszcza przoduje na tem polu. Serja znaczków wydanych 20 lutego z okazji zawodów F.(édération) I.(nternationale de) S.(ki) cieszy się tak wielkiem powodzeniem, że nie udało się nam dotychczas uzyskać tych znaczków do reprodukcji. Cztery wartości 12+12 gr. zielony, 24+24 gr., czerwono-fioletowy, 35+35 gr. ceglasty, 60+60 gr. c. niebieski przedstawiają momenty z zawodów narciarskich, względnie, najwyższa wartość, Innsbruck w zimie.

Minimalny nakład (70.000 seryj) jest niezmiernie ostro krytykowany, nie ulega bowiem żadnej wątpliwości, że został on już dzisiaj rozchwytany i znaczków tych nie będzie można dostać niżej 3—4-krotnej ceny nominalnej. Do zagadnienia t. zw. znaczków dobroczynnych powrócimy w jednym z najbliższych numerów.

Reprodukujemy 4 najnowsze znaczki Łotwy (ze zbioru p. dyr. A. Landaua) drukowane litografją: 3 s. pomarańczowy, 10 s. zielony, 20 s. różowy, 35 s. ciem. niebieski.

**Gdańsk.** Na pomoc zimową („Winterhilfe") wydano 3 znaczki: 5+5 pf. pomarańczowy, 10+5 pf. zielony, 15+10 pf. czerwony. (Litografja).




*Znaczki Wolnego Miasta Gdańska, poświęcone „pomocy zimowej".*

# ABC PERFUM

Każda pani przepada za jakimś miłym, subtelnym, lub bardziej ostrym zapachem; każda pani w myśl tradycji pielęgnuje zamiłowanie do jednych i tych samych perfum — już od paru lat — bo podobno nie nie wypada zmieniać perfum, żeby tam nie wiem co, żeby się nawet miało szaloną ochotę perfumować się jednego dnia „Crêpe de Chine", a innego wieczoru znów użyć „Soir de Paris". Przecież ktoś kiedyś, powiedział, że wytworna i naprawdę elegancka pani używa stale tych samych perfum.

Moda dzisiejsza zwalnia panią z tej wierności jednemu jedynemu zapachowi, jednym, jedynym perfumom. Wolno pani być zmienną i kapryśną. Wolno zmieniać perfumy, nawet parę razy dziennie.

I niech się pani nic a nic nie obawia, że może będzie to w złym tonie. Raczej ta „wonna" stałość będzie nie na miejscu, jeśli pomyślimy, że pani używa tych samych perfum wtedy, kiedy jest w kostjumie sportowym i wtedy, kiedy jest w balowej toalecie.

A więc parę słów o trudnej, skomplikowanej i tajemniczej sztuce perfumowania się, a przedewszystkiem o perfumach modnych. Dawne tkliwe zapachy kwiatowe wyszły z mody. Piękna pani nie wonieje już, ani jak fiołek, ani jak konwalja, róża, czy (o perwersjo lat minionych!) tuberoza. Modne obecnie kombinacje chemiczne, wspaniałe, przedziwne, wyrafinowane zapachy wyparły naiwny wdzięk kwiatów i „z kwiatów pozostała tylko... nazwa. Modne obecnie maki kalifornijskie, nie są wogóle wyciągiem z maków, a tembardziej kalifornijskich, tylko poprostu zestawieniem paru pierwiastków chemicznych.

Bogactwo modnych zapachów jest niesłychane.

A więc przedewszystkiem: — perfumy i uroda. Jeśli pani jest typem subtelnej blondynki lub smukłej szatynki, o jasnej cerze i błękitnych oczach — proszę wybierać zapachy bardziej słodkawe, delikatne. Jeśli pani jest śniadą brunetką — proszę zwrócić uwagę na wonności egzotyczne. Nie trzeba także zapominać i o tem, że perfumy powinny stanowić „pendant" do toalety, ba, nawet do koloru sukni, czy nawet materjału z którego suknię pani ma na sobie. Nie darmo wielkie firmy paryskie kreują cudowne wonne coctaile, które noszą nazwę toalety, czy tkaniny jednocześnie przez firmę stworzonej. Trzeba więc bardzo uważać, że nie popełniać jakichś „gaffy". I jeśli pani ma na sobie zwiewną, przeźroczystą kreację, unikajmy silnych, ostrych perfum, a pamiętajmy, że przy gładkim, pod szyję podchodzącym „cosaque" ze złotej lamy, możemy śmiało podkreślić orjentalny przepych i rzstotę tej sukni perfumami egzotycznemi. Tak samo, jak przy sukni stylowej nieodpowiednie będą perfumy „moderne". O, bo perfumy również bywają stylowe. Jeśli więc kładzie pani stylową krynolinkę, to niech i perfumy będą... stylowe. Inaczej, zestawienie toalety z ubiegłego stulecia, z ostatniem wonnem natchnieniem Chanel'a, czy Pinauda będzie stanowić rażący kontrast.

Mówiliśmy także o porze dnia i perfumach... Doskonale wiemy, że przecież wybierając się na przedpołudniową przechadzkę, nie będzie pani używać tych samych perfum, któremi przesiąknięta jest suknia wieczorowa.

A jeśli pani ubiera się po sportowemu? Wystarczy wtedy odrobina wody, doskonałej wody kolońskiej.

Oczywiście, że pora letnia uprawnia panią do zmiany perfum. W gorący dzień letni jakżeż używać finezyjnych, dziwnych zapachów, których używało się podczas karnawału! Nie, wtedy powracają znów perfumy kwiatowe, lub też chemiczne kombinacje, o zapachach dziwnych, nieznanych i nienazwanych — perfumy — wytwory natchnienia chemików.

Ale jakichkolwiek perfum pani używa, zawsze powinna pani pamiętać o tem, że nigdy, jeśli pani chce zyskać miano wytwornej kobiety, nie powinien zapach pani perfum „otaczać ją wonnym obłokiem", lub też „płynąć za nią wonną smugą". Pani naprawdę wytworna uperfumowana jest dyskretnie tak, że ma się wrażenie, że poprostu jej suknia, włosy, ręce przesiąknięte są jakąś nieuchwytną a przedziwnie piękną wonią i że... nie jest „uperfumowana".

**M. S. S.**



# Pocałunek GWIAZD

Babki nasze przysłuchiwały się chętnie piosenkom o pocałunku śpiewanym przez uroczą Audran, która w swych piosenkach równie naiwnych jak i sentymentalnych opiewała wszystkie „przedwojenne" gatunki pocałunku: całus kochanka, pocałunek matki, pocałunek dziecka i pocałunek... męża.

Nasze matki rumieniły się, oglądając obrazy Etcheverry'ego, który mistrzowsko malował sceny pocałunków w miarę namiętnych — poprawnych i eleganckich.

Rewolucję wywołał pierwszy film amerykański, który zapoznał nieśmiałą Europę z klasycznym pocałunkiem, trwającym 37 sekund. Babki nasze i mamy nadaremnie uczyły swe dzieci tak patrzeć, aby nie widziały! Lecz potem przyszła wielka wojna! Nie pozbawiony pewnej hipokryzji pocałunek anglosaski ustąpił miejsca znacznie śmielszemu i bardziej szczeremu pocałunkowi współczesnej garsonki.

Anglosasi kryją się ze wszystkiem — mimo, że nie gardzą pocałunkiem urodziwej Francuzki, zawsze mają na ustach frazes: „Ach! Francuzki całują się na ulicy! shocking!" — Na ten temat w Paryżu kursuje wiele anegdotek. Wydaje mi się, że najdowcipniejszą jest następująca: Pewien rasowy Francuz spotkał podczas podróży na pokładzie luksusowego statku „Ile-de-France" młodą Amerykankę. Między młodemi ludźmi zawiązał się okrętowy beztroski flirt. Któregoś wieczoru Francuz upojony księżycową nocą i rozkosznym sam na sam ze swą wybraną zaryzykował pocałunek. Amerykanka oburzona odsunęła się gwałtownie — zmierzyła stropionego młodzieńca piorunującem wejrzeniem i rzuciła wyniośle przez zaciśnięte wargi: „Jak pan śmiał...!". — Francuz nie przywykły do tak... pompatycznych reakcyj odparł uprzejmie: „Ależ proszę pani ten pocałunek był tak delikatny, że sądziłem, iż go pani wogóle nie poczuje!?".

Dama nowojorska odwróciła głowę i uśmiechnęła się: Nie, na szczęście był na tyle mocnym, że go poczułam!"

Pocałunek stał się międzynarodowym. Ułatwia porozumienie, niweluje różnice rasowe, — łączy w akordzie pełnego zrozumienia mężczyznę i kobietę, pochodzących z dwu różnych kontynentów.

Pocałunek interesuje... Spróbujcie ogłosić odczyt o pocałunku, o jego pochodzeniu, czy historji, a sala się zapełni — wszystko jedno, czy będzie to Paryż, Londyn, czy mała prowincjonalna mieścina. Pocałunek niepokoi i elektryzuje — nikt nie pozostaje wobec niego obojętnym.



*Pocałunek „Wesołej wdówki" — Jeannette Mac Donald i Maurice Chevalier.*



*Pocałunek — nagrodą za zdobycie rekordu sportowego. — Poniżej na lewo: Pocałunek zwątpienia — Joan Crawford i Clark Gable.*



Pocałunek jest dzieckiem cywilizacji. Starożytność nie znała pocałunku w sensie dzisiejszym. Rzymianie rozrzutnie szafofali pocałunkiem w czoło, w policzki, nawet w rękę, lecz były to tylko zewnętrzne oznaki pojednania i przyjaźni bez jakiejkolwiek emocji...

Pierwsi chrześcijanie wprowadzili pocałunek jako gest zewnętrzny, wyrażający miłość bliźniego. Całowali się jednak tylko w policzki a w usta całowali się jedynie mężczyźni z mężczyznami i kobiety z kobietami.

O pierwszym pocałunku miłosnym w dzisiejszem tego słowa znaczeniu mówić można dopiero w średniowieczu. Był to pocałunek w rękę pełen wytwornej i przesadnej elegancji — pocałunek rycerzy i feudalnych panów. Ale od dłoni do ust jest tylko jeden krok. Ów krok zrobiono za czasów Franciszka I. Od tej daty pocałunek miłosny ust zyskuje sobie prawo obywatelstwa i staje się jednym z najpiękniejszych gestów miłości.

Króluje pocałunek w wieku XVIII, stając się wdzięcznym tematem dla ówczesnych malarzy. Lecz wyidealizował to czarowne zbliżenie ust dopiero romantyzm. Poeci romantyczni opiewali skalę napięcia pocałunków, skatalogowali subtelnie w poetyckich uniesieniach wszystkie jego odcienie. Można powiedzieć, że dopiero w XIX stuleciu pocałunek, przeszedłszy ewolucje wieków, osiągnął szczyt, stając się wyrazicielem serca i jego pragnień.

Dziś pocałunek doczekał się wielu biografij i naukowych opracowań. Znawcy jego jak Dekobra, klasyfikują pocałunki według narodowości. Pocałunek kordjalny Niemki, namiętny Hiszpanki, bojaźliwy i płytki Angielki, sentymentalny i łzawy Rosjanki itd.

Faktem niezbitym jest, że kult dla pocałunku wzbudził w naszem stuleciu film. On to pokazał nam mistrzowskie odmiany pocałunku, pełne piękna i poezji. X muza wyprowadziła pocałunek z pierwotnego prymitywu i ukrycia, stylizując go w przepiękny gest pełen poetycznej harmonji. Sztuka filmowa stworzyła klasycyzm pocałunku. Setki tysięcy kobiet entuzjazmowało się pocałunkiem Rudolfa Valentino — pocałunek Grety Garbo elektryzuje obie półkule! Dziś pocałunek stał się sztuką!

**J. Mier.**

# Życie towarzyskie i artystyczne

## TEIKO KIWA W KRAKOWIE



Ostatnio na scenie teatru im. Juljusza Słowackiego wystąpiła znana artystka japońska, primadonna cesarskiej opery w Tokio p. Teiko Kiwa w operze Pucciniego „Madame Butterfly". Wysokie walory głosu tej śpiewaczki, jak również jej gra, stojąca na wysokim poziomie artystycznym, a nadewszystko jej „autentyczność" predystynująca ją do interpretowania roli Ho-Ho-San, zapewniły artystce olbrzymie powodzenie.

## SUKCESY ZDOLNEGO ARTYSTY



Swemi występami w Teatrze Wielkim we Lwowie w operetce Abrahama „Przygoda w Grand Hotelu", jak również swym udziałem w licznych koncertach, inż. Wojciech hr. Dzieduszycki zdobył sobie sympatję szerokiej publiczności. Hr. Dzieduszycki bierze również udział w audycjach radjowych.

## ZULA DYWIŃSKA I ROMAN HIEROWSKI



Artyści sceny krakowskiej, Zula Dywińska i Roman Hierowski, zaangażowani zostali w bieżącym sezonie do Teatru Miejskiego w Łodzi, gdzie grając wspólnie w kilku sztukach główne role, zdobyli sympatje łódzkiej publiczności zarówno wdziękiem, jak i wysokiemi walorami gry aktorskiej. Dywińska i Hierowski szczególnie podobali się w komedji „Chcę tylko ciebie" i w „Trafice pani generałowej".

## GRONOSTAJE KRÓLOWEJ EKRANU



Znana artystka wytwórni filmowej Gaumont-British Jessie Matthews wystąpiła ostatnio w pięknym nowym filmie „It's Love Again", wzbudzając zachwyt kinomanów nietylko piękną grą, ale również wspaniałą peleryną z gronostajów, którą widzimy na naszem zdjęciu.

## WYŚCIGI ŚWIATA FILMOWEGO



Aktorzy filmowi, żyjący w Hollywoodzie, interesują się niemniej od zawodowych sportowców wyścigami konnemi. Tor wyścigowy Santa Anita jest też nieraz widownią ciekawych zawodów. Na zdjęciu znani aktorzy Joan Blondell i Dick Powell, oraz Elizabeth Arden wraz z wyścigowcem „Bill'em", pochodzącym ze stajni znanej pionierki kosmetyki.

# Dzieci szczęścia

**Tłumaczenie autoryzowane Julji Rylskiej.**

*29-ty ODCINEK.*

## J. KESSEL
## POWIEŚĆ
## ILUSTR. A. ŻMUDA

— Miejmy nadzieję, że to, o czem myślę, nie skończy się tragicznie... Będzie mógł mówić w takim razie o szczęściu ten biedak... Proszę sobie wyobrazić, że znalazł się szaleniec, który, korzystając z zamieszania przy wyładowywaniu więźniów, prześlizgnął się między żołnierzami, trzymającymi straż — przedostał się przez zasieki kolczastego drutu — raniąc się przytem okropnie, bo znaleźliśmy krew na drutach — i zapuścił się w pustynię. Nie miałem sumienia ukarać ostro żołnierzy; któż mógł przewidzieć możliwość podobnego szaleństwa! — Bo czegóż spodziewał się ten nieszczęsny? — Dokąd zamierzał iść tak, bez przewodnika — bez żywności — i bez wody! — Puszczać się w Rio de Oro, bez kropli wody!!

Vivant poczuł, że mąci mu się w głowie — a potem zupełną pustkę pod czaszką. W tym szalonym kroku, odnajdywał jakby siebie samego — a prócz własnego, znał tylko jedno, jedyne serce na świecie, tak zupełnie niezdolne oprzeć się urokowi, jaki posiadają w sobie rzeczy ponad siły... niemożliwe...

— Pojmaliście go już pewnie? — Przynajmniej życzę mu tego...

I mówiąc to, począł z hałasem kłócić srebrną mątewką swój szampan w kieliszku, by pokryć drżenie własnego głosu.

— Dotąd jeszcze nie... — westchnął komendant. — A pański sąsiad, wytłómaczy panu dlaczego.

— Musiał iść przed siebie przez dwie doby, bez przerwy — począł mówić żywo kapitan, dowódca eskadry lotniczej w Cisneros. — Aparaty nasze odkryły go wprawdzie: leżał o 60 kilometrów, mniej więcej, od naszych zasieków, w kierunku północno-wschodnim. Ale żywy, z całą pewnością — bo zerwał się, żeby uciekać dalej, kiedy usłyszał nasze motory. Nieszczęście chce, że nie można było lądować, ani w tem miejscu, gdzie leżał, ani w promieniu 6 mil wokoło. Same tylko wzgórza i zagłębienia terenu, za wąskie, żeby aparat mógł usiąść na nich. Nie było innej rady, tylko musieliśmy ograniczyć się do rzucenia mu bukłaka wody i pudła sucharów.. Otoczyliśmy też miejsce, na którem leżał, płatami kolorowych szmat, żeby był widoczny zdala. Bo to nie bagatela, odnaleźć człowieka w tych wydmach piaszczystych! Straciliśmy cały dzień, nim odkryliśmy biedaka!

— W jakiż więc sposób powróci tutaj? — zawołała Roberta.

— Niech się pani nie przejmuje tak — rzekł łagodnie Cabral. — Wysłaliśmy silny patrol po niego dziś rano, o świcie. Mimo, że ludzie są obarczeni bronią i karabinami maszynowemi, dałem rozkaz porucznikowi, żeby jutro, około południa dotarł do miejsca, gdzie znajduje się Jasarte...

Młoda kobieta i Ivan nie potrzebowali zadawać sobie najmniejszego gwałtu, by nie drgnąć na to imię: zabardzo spodziewali się, że usłyszą je...

* * *

Przez otwarte drzwi szopy, Le Droz spostrzegł zbliżające się od strony oficerskich mieszkań światło latarni. Po chwili Vivant, zamknąwszy drzwi i zostawiwszy za niemi, konwojującego go ze światłem, hiszpańskiego żołnierza, stanął między nimi.

— Jesteś! — Jesteś!! — przyszedłeś wreszcie! — porwał się ku niemu mechanik.

— Cicho! — Nie mam chwili do stracenia... Zaraz teraz w nocy, nalejesz do pełna rezerwoar — sprawdzisz motor — kierownicę — hamulce — wszystko! Na rano, o pierwszym świcie, muszę mieć maszynę gotową — i bardziej, niż kiedykolwiek pewną! — Rozumiesz?

— Nie, to niemożliwe! — jęknął mechanik. — Nie odjedziesz przecież zaraz! — Nie widziałem cię nawet!

A Vivant nie słuchał go nawet. Zwrócony do Le Droza, dawał mu spiesznie wyjaśnienia:

— Ramon uciekł zaraz pierwszego dnia. Nawpół żywy, padł niedaleko — 60 kilometrów stąd. Patrol ruszył po niego — jutro w południe dotrze do miejsca, gdzie leży i sprowadzi go tu... o ile opryszki na pustyni nie uporały się już z nim... Musimy wyprzedzić patrol... Mówią, że nie da się lądować tam, gdzie Ramon leży — ale ja wyląduję! — Do widzenia, do jutra.

I już go nie było.

* * *

Rzedniejąca mgła snuła się jeszcze ponad przylądkiem — a już samolot, niepokalanie czysty i pieczołowicie opatrzony, stał czekając aż dzień się narodzi. Vivant, siedząc przy kierownicach, tłómaczył urządzenia swego aparatu hiszpańskim lotnikom, którzy zerwali się jak jeden mąż, by pożegnać ich przy odlocie. Courdoneau stał po drugiej stronie pudła samolotu, przyciśnięty twarzą do szybki mikowej okienka. Czerwonemi z niewyspania oczyma wpatrywał się w ruchliwą twarz, o skośnych oczach i występujących kościach policzkowych, ukochanego swego pilota. O kilka kroków, na uboczu, Le Droz przedkładał coś żywo Robercie.

— Nie, nie próbuj nawet — to się nie przyda na nic — przerwała mu.

— Słuchaj, powtarzam ci: nie przeszkodzi to w niczem naszemu odlotowi... Wsiądziesz z nami, a kiedy aparat zacznie się toczyć po ziemi, wyskoczysz. Wtedy już Hiszpanie nic nie będą mogli nam zrobić!

Roberta nie odpowiedziała już nic, tylko zaczęła półgłosem przepowiadać sobie ustępy z podręcznika: „Pomoc w nagłych wypadkach“, których wyuczyła się napamięć, przed wyruszeniem z Paryża.

Wreszcie ukazał się komendant Cabral.

— Proszę, zechce pani przyjąć to i zachować, jako pamiątkę z Cisneros — rzekł, wręczając jej gruby misternie wyrobiony pierścień srebrny — dzieło jakiegoś maurytańskiego artysty-snycerza, rzeźbione gdzieś przy koczowniczem ognisku, wśród pustyni.

Młoda kobieta włożyła pierścień na serdeczny palec; był o wiele za duży.

— Każę go zmniejszyć w Paryżu — rzekła. — Ale teraz, nie zdejmę go... aż do najbliższego lądowania naszego... Oby przyniósł nam szczęście!

A mówiąc to myślała: „Jeżeli uda nam się uratować i wywieźć stąd Ramona — wiem, że Cabral będzie uszczęśliwiony!“

— W drogę! — zawołał Vivant.

Słońce, ognistą strzałą, przebiło właśnie mgły i przylądek zabłysnął nagle krwawo. Samolot długo toczył się, nim oderwał się od ziemi.

— Spodziewałem się więcej po nim — wyrzekł wzgardliwie dowódca hiszpańskiej eskadry do towarzyszy.

— Pewnie debjutuje dopiero w lotnictwie — odrzekł Cabral, który gotów był nawet ośmieszyć się, byle bronić honoru Ivana.

A Vivant przesadzał się poprostu w ostrożności. Z niesłychaną uwagą śledził funkcjonowanie motoru, hamulców i pedałów — gotów powrócić do hangarów, za najmniejszem zacięciem się ich lub niedokładnością i zawezwać pomocy Courdoneau. Nie odkrył jednak niczego podejrzanego i szepnął z czułością:

— Ten poczciwy, stary — nieoceniony Ludwik!

I śmiało zawrócił teraz ku północnemu wschodowi. Nie dbał już, jak zareagują na to oficerowie z Villa Cisneros, którzy spodziewali się, że samolot pomknie ku południowi. Wiedział, że dwadzieścia minut wystarczy mu na pokrycie 60 kilometrów. Początkowo krążył jeszcza chwilę: chciał najpierw zdać sobie sprawę,

gdzie znajduje się patrol, wysłany po Ramona. Odkrył go wreszcie, w chwili, kiedy, podobny do gąsienicy koloru khaki, wspinał się najpierw po zboczu wydmy, a potem przewalał się przez ostry jej grzbiet na drugą stronę. Obliczył, że patrol przebył 2/3 drogi i że potrzeba mu jeszcze przynajmniej pół dnia marszu, by dotrzeć do zbiega — jemu zaś wystarczy 10 minut na przebycie tej samej drogi. Uspokojony więc zaczął lecieć teraz w prostym kierunku.

„Teraz — myślał — trzeba z całą uwagą przepatrywać najbliższą okolicę..." Nagle, od wschodu, zobaczył ciągnący sznur wielbłądów, a na nich niebieskie postacie... Le Droz spostrzegł je równocześnie. Obaj zamienili spojrzenia. Gdyby aparat skapotował przy lądowaniu — Maurowie, którzy z wszelką pewnością oddawna już śledzili jego ewolucje na niebie, rzuciliby się nań bezwątpienia... Na swych wielbłądach przylecieliby na miejsce katastrofy, zanim patrol hiszpański zdołałby ustawić i skierować na nich ogień swych mitraliez... Oczy obu mężczyzn spoczęły na Robercie... Lecz ona nie wiedziała o niczem, pochłonięta całą swemi ampułkami, strzykawkami i bandażami.

Le Droz nabił karabiny i odsunął bezpieczniki u browningów. Vivant całą uwagę zwrócił teraz na przeszukiwanie terenu pod sobą. Ale nie trwało to już długo. W przedłużeniu prawego skrzydła aparatu, różnokolorowe plamy wykwitły nagle na płowej sierści pustyni. W kilka sekund później ujrzał jakiś kształt podłużny, leżący bez ruchu na piasku... Pokazał go towarzyszom.

Robercie wydało się nagle, że motor pracuje w milczeniu... Oto za chwilę trzeba im będzie, wszystkim trojgu narazić młode życia — narazić je na darmo może... — Znaleźć tylko trupa...

Trzy doby pragnienia... Czy Ramon potrafił przetrzymać je?... Rzucono mu wprawdzie bukłak wody z góry — lecz któż wie, jak daleko upadł od niego? Czy miał jeszcze siły doczołgać się doń? — Jeżeli człowiek, taki jak on, załamał się i upadł, zamiast iść dalej — to chyba wydając ostatnie tchnienie...

Vivant poczuł, że dopóki okrótna zagadka: żyw Ramon — czy martwy? — nie będzie rozwiązana, niepokój i trwoga nie pozwolą mu manewrować aparatem ze spokojem, jakiego wymagały teren i sytuacja. Zniżył się ku leżącej na ziemi postaci — puścił motor na pełny gaz — potem poderwał w górę aparat. Spuścił się znów nisko tuż, nad Ramonem i znowu zahuczał z całych sił motorem. Le Droz i Roberta przywarli całem ciałem do ściany pudła — wszystko, co było w nich życia, skoncentrowało się teraz w ich oczach. Nagle oboje odnieśli równocześnie wrażenie, że jedno ramię leżącego uniosło się nieco — i opadło. Natychmiast powtórzyli ów gest, by dać o nim znać Ivanowi. Pilot zrozumiał — odetchnął z ulgą i począł znowu lustrować z uwagą teren.

Wokoło, jak okiem sięgnąć kłębiły się falistemi liniami wydmy. Na zboczu jednej z nich ustał Ramon. Nawet dla Vivanta niepodobieństwem była zamarzyć o lądowaniu poniżej leżącego w zagłębieniu, u stóp owej wydmy. Był to rodzaj głębokiego wąwozu, ciągnącego się między dwoma piaszczystemi wałami, o dnie pooranem wybojami i tak wąskiem, że szerokość jego równała się zaledwie rozpięciu skrzydeł aparatu. Zatoczył więc krąg, opuściwszy się na kilka metrów zaledwie nad wierzchołek wydmy, by zbadać go z bliska.

Powierzchnia wierzchołka piaszczystego wzgórza wydała mu się względnie gładką, a szerokość jej przedstawiała niejakie szanse lądowania.

— Tylko — szepnął do siebie — djabło krótko jednakże... Rozumiem teraz Hiszpanów...

Spróbował dotknąć kółkami piaszczystego grzbieta. Był dość twardy...

— Nawet jeżeli uda mi się stanąć na nim u samego skraju, to jeszcze aparat potoczy się za daleko — obliczył.

— Dolecę do drugiego brzegu — skoziołkuję w próżnię — i będzie po wszystkiem!

Zawrócił raz jeszcze, badając możliwość lądowania w przeciwnym kierunku. Doszedł do tych samych konkluzyj.

— Wiatru niema, nie zahamuje... — szeptał głucho z rozpaczą. — Liczyć można tylko na opór terenu pod kołami — a nie znam dokładnie jego siły... A, niech się co chce dzieje!

Odwrócił się do Le Droza, dając mu do zrozumienia na migi, by w razie katastrofy, otworzył drzwiczki karetki i był gotów wyskoczyć, porywając Robertę ze sobą. Upewniwszy się, że przyjaciele zrozumieli go, uśmiechnął się do nich. A potem wszystko przestało już istnieć dla niego — zespolił się zupełnie ze swą maszyną — stał się z nią jedną istotą.

Cofnął się o dosyć znaczną odległość od groźnej wydmy i rozpoczął woltyż powietrzny, próbując raz jeszcze uległości aparatu i czułości jego na najlżejszy nakaz dłoni. Wkońcu ustawił go w kierunku długości wierzchołka wydmy i ruszył naprzód.

— En avant, Vivant! — Ivan Vivant, en avant! — szeptał, jakby modlitwę odmawiał.

Koła sparły się na punktach, z których nie spuszczał cały czas oczu — jakby je ktoś ręką na nich ustawił. Lecz, po szybkości z jaką poczęły się toczyć po piasku, pilot zdał sobie sprawę, że samolot nie zatrzyma się na linji, na której kończyły się dla nich wszelkie szanse — linji, która w tej chwili była granicą ich życia i śmierci.

I z niesłychaną jasnością obliczył, że brakowało mu wszystkiego trzech do czterech metrów terenu... Że w chwili, kiedy samolot znajdzie się na fatalnym punkcie, w którym platforma na wierzchołku wydmy przechodziła nagle w dosyć stromy jej stok — szybkość aparatu będzie się równała niemal zeru — lecz wystarczy jeszcze, by sprowadzić ruinę wszystkiego...

— Chwytaj Robertę i skacz! — krzyknął do Le Droza.

A Le Droz czekał już w otwartych drzwiczkach aparatu, i w chwili, kiedy oczom jego ukazał się ów punkt fatalny, wyskoczył — ale sam... — I puścił się, jakgdyby wyrzucony z kolosalnej procy — wyprzedził kilkoma potężnymi skokami chwiejny, wahający się bieg samolotu i kiedy aparat dosięgał już śmiercionośnego stoku, zaparł się stopami w piasku — i stał się skałą. Przyjął maszynę na swe ramiona — zahamował jej pęd i utrzymywał ją, podczas gdy wyładowywała na jego barkach coraz wolniejsze obroty motoru — aż do ostatnich jego drgnień! Kiedy poczuł, że wszystek ruch zamarł w maszynie — dopiero wtedy osunął się na kolana.

Kiedy wrócił do przytomności, zobaczył Robertę, nieco niżej na zboczu, jak usiłowała wlać trochę koniaku między zaciśnięte zęby Ramona — zwilżała jego wargi mokrą chustą i masowała mu piersi, by ożywić akcję serca.

— Żyje! Żyje! — krzyknęła zwycięsko, jakby rzucała wyzwanie iście księżycowej martwocie pejzażu, w jaką pustynia stroiła się wokoło nich. — Ivan, ampułki z kofeiną, prędko!

Podczas, gdy Roberta zajęta była udzielaniem pierwszej pomocy Ramonowi, Vivant podszedł do Le Droza.

— Maurów co tylko nie widać — rzekł. — Trzeba nam odwrócić aparat do startu w przeciwnym kierunku. Czy jesteś w stanie pomóc mi?

Le Droz przeciągnął ramiona, zrobił nimi kilka ruchów na próbę. Były bardzo obolałe, lecz mogły już służyć.

I zabrali się do dzieła. Wysiłek zlewał potem ich twarze — rozdzierał wprost piersi zdyszanym oddechem. Kilka razy myśleli, że trzeba dać za wygraną; lecz głos Roberty, wieszczący im radośnie z dołu, kolejne fazy powrotu życia w umęczone ciało Ramona, dodawał im za każdym razem odwagi do dalszych prób. W końcu udało im się odwrócić samolot.

Le Droz podniósł Ramona i złożył go na dnie pudła aparatu. Vivant wprawił motor w ruch. I, czy to ów odgłos wibracji motoru — taki swojski, tak bardzo ukochany gorącą duszą i każdą kroplą krwi młodego ciała hiszpańskiego lotnika — czy ciepło kolan Roberty, o które oparta była głowa rannego, sprawiły ten cud — lecz w tej samej chwili Ramon, leżący na wznak, na dnie pudła, otwarł nagle oczy. Coś, jakby nikła skra przytomności, zamajaczyło w nich i usta rannego poruszyły się.

— Wstrzymaj się, Ivan! Wstrzymaj na sekundę! — poczęła błagać Roberta. — Chce mówić coś.. .

Vivant zatrzymał motor.

A Ramon wyszeptał tak cicho, że, aby go zrozumieć, Roberta musiała przyłożyć ucho do bezkrwistych, spieklych warg Hiszpana:

— Byle — nie więzienie... Nie chcę!... Zginąć — albo być królem Maurów...

Młoda kobieta powtórzyła przyjaciołom jego słowa.

— Ramon! — odezwał się Le Droz, kładąc nacisk na każdą głoskę, z wyrazem nieskończonej miłości — Ramon, jesteśmy przy tobie. Wieziemy cię samolotem — sa-mo-lo-tem — powtórzył — do Port-Etienne — na francuską ziemię.

Powieki Ramona rozsunęły się szerzej:

— Ziemia... francuska — w o l n y !...

Uczynił ogromny wysiłek, uśmiechnął się do nich oczyma i wyrzekł przerażająco powoli:

— Ivan — Jacques — Roberta — moje szczęście — wy... moje szczęście...

— Odrywaj od ziemi! — krzyknął do Ivana Le Droz. — Czy nie czujesz?

Bo z ran, któremi zorały ciało Hiszpana pordzewiałe druty zasieków Villa Cisneros, zalatywało jakąś słodkawą, mdłą wonią rozkładu — strasznym upiornym tchnieniem gangreny...

— Chwilę jeszcze! — szepnęła Roberta. — Nie chcę, by cierpiał w drodze... Podaj mi morfinę Jacques — tam w szufladce na lewo.

Vivant poderwał wściekle aparat, zanim dobiegał do brzegu chropawej platformy. Samolot zawahał się — śmigą zwolniła obrotu — zdawało się, że maszyna odmawia lotu. Pilot, niby wierzchowcowi, popuścił mu cugli i aparat potoczył się kawałek po piasku. Wtedy nacisnął znów pedału — i tym razem maszyna usłuchała woli człowieka.

W powietrzu Ramon zdawał się odzyskiwać nieco sił; przytem, morfina rozpoczęła błogosławione swe działanie.

(Dokończenie nastąpi).



**UŚMIECH KU SŁOŃCU LORETTY YOUNG.**
*FOT. POLONSKY — HOLLYWOOD.*





# M. M. DUDREWICZOWA

# KORONKI SIATKOWE (F I L E T)

CZĘŚĆ III.

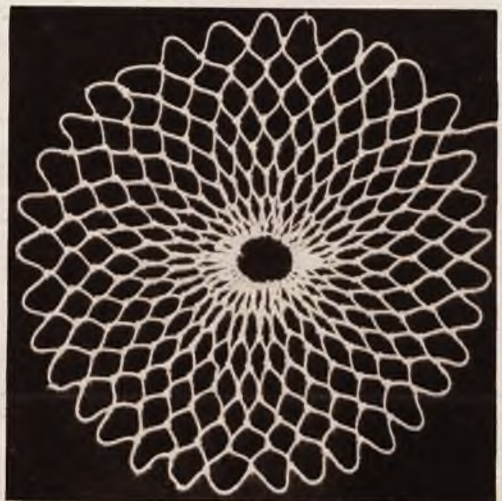
### KOŁA SIATKOWE.

Koło siatkowe można robić na dwóch i na trzech wałeczkach rozmaitej grubości. Jeżeli wzór chcemy ozdobić jeszcze pikotami siatkowemi, to robimy na trzech wałeczkach. Pierwszy wałeczek to zwykły drut używany przy robocie pończoch, drugi wałeczek musi być znacznie grubszy od druta, a trzeci wałeczek powinien mieć 2½ cm. obwodu.

Koło zaczynamy siatkować w ten sposób. Koniec nitki z iglicy owijam kilka razy naokoło wskazującego palca. Następnie obrabiam szydełkiem na tem kółku niskie słupki gęsto naokoło. Ale tego kółka nie wolno odcinać od iglicy.

Zamiast szydełkować można to kółko zadziergać iglicą. Gdy ostatni słupek zrobiony, wtedy wyciągam oczko do góry, wkładam w nie iglicę i zaciągam węzeł. Następnie przypinam to kółko do materji na cegle i robię w niem 25 albo 35 oczek. Zależy to od wielkości serwetki. Niektórzy robią liczbę oczek parzystą, ale mnie się zdaje, że łatwiej jest projektować wzorek, gdy liczba oczek jest nieparzysta.

Siatkując pierwszy rządek oczek w tem kółku, trzeba co kilka zrobionych oczek odpinać kółko, posuwać je na lewo i przypinać na nowo. Zaczynanie koła jest więc żmudne, ale po obrobieniu dwóch, trzech razy naokoło, siatkuje się już dalej całkiem wygodnie.



*Rozpoczęte koło siatkowe.*

Po zrobieniu pewnej ilości oczek musi się wałeczek wysuwać z tych oczek, ale ostatnie dwa zrobione oczka nabieramy z powrotem na wałeczek i siatkujemy dalej. W ten sposób obrabiamy 7—8 razy naokoło.

Gdy obwód siatki zaczyna się już delikatnie rozciągać, szpanować, wtedy rozszerzamy koło w ten sposób, że w każdem drugiem, albo trzeciem oczku robimy 5 oczek obok siebie, tj. jeden węzełek obok drugiego na bardzo grubym wałeczku. Następnie siatkujemy gładko z 10 razy na cieńszym wałeczku na którym zaczęłyśmy koło siatkować. Jeżeli następnie zobaczymy, że obwód koła znów zaczyna się rozciągać i nie układa się gładko na stole, wtedy powtarzamy powyższe dodawanie po 5 oczek w jednem na najgrubszym wałeczku. A dalej siatkujemy znowu gładko na poprzednim wałeczku.

Przy siatkowaniu koła na 3 wałeczkach postępujemy następująco:

Na obszydełkowanem kółku niskiemi słupkami, siatkujemy 35 oczek na średnim wałeczku i tak obrabiamy gładko 7—8 razy naokoło. Następnie robimy na najgrubszym wał: 3 razy naokoło, a w ostatnim rzędzie w każdem takiem dużem oczku siatkujemy po 2 maleńkie pikoty na stalowym drucie.

Pikoty robimy w ten sposób: siatkuje się jedno oczko na najgrubszym wałeczku i wałeczek wyciągamy, a tuż przy węźle robimy 2 oczka na drucie. Teraz drut wyciągamy z tych dwóch oczek i znowu na najgrubszym wałeczku robimy jedno duże oczko, wkładając iglicę w następne oczko siatkowe. Wyciągamy znowu wałeczek i robimy na drucie tuż przy węźle 2 oczka maleńkie.

Po zrobieniu takiego rzędu z pikotami robimy naokoło 2 rzędy gładko na najgrubszym wałeczku, a w następnym rzędzie na tym samym wałeczku dodajemy co drugie lub co trzecie oczko po 5 oczek razem tuż przy sobie węzeł przy węzełku. Następnie siatkujemy na średnim wałeczku kilkanaście razy gładko naokoło.

Dalej możemy zrobić podłużne pęczki na najgrubszym wałeczku. Siatkujemy więc co drugie oczko po 3 oczka tuż przy sobie, a w następnym rzędzie wkładamy iglicę odrazu we wszystkie te trzy oczka i w ten sposób stworzą się pęczki. Takie wzory w serwecie



*Zmniejszony wzór serwetki wykonanej ściegiem ozdobnym.*

możemy powtarzać po kilka razy, a zakończyć serwetę można z ę b a m i. Obliczyć tylko trzeba oczka naokoło, by równo ilość oczek wypadła na każdy ząb.

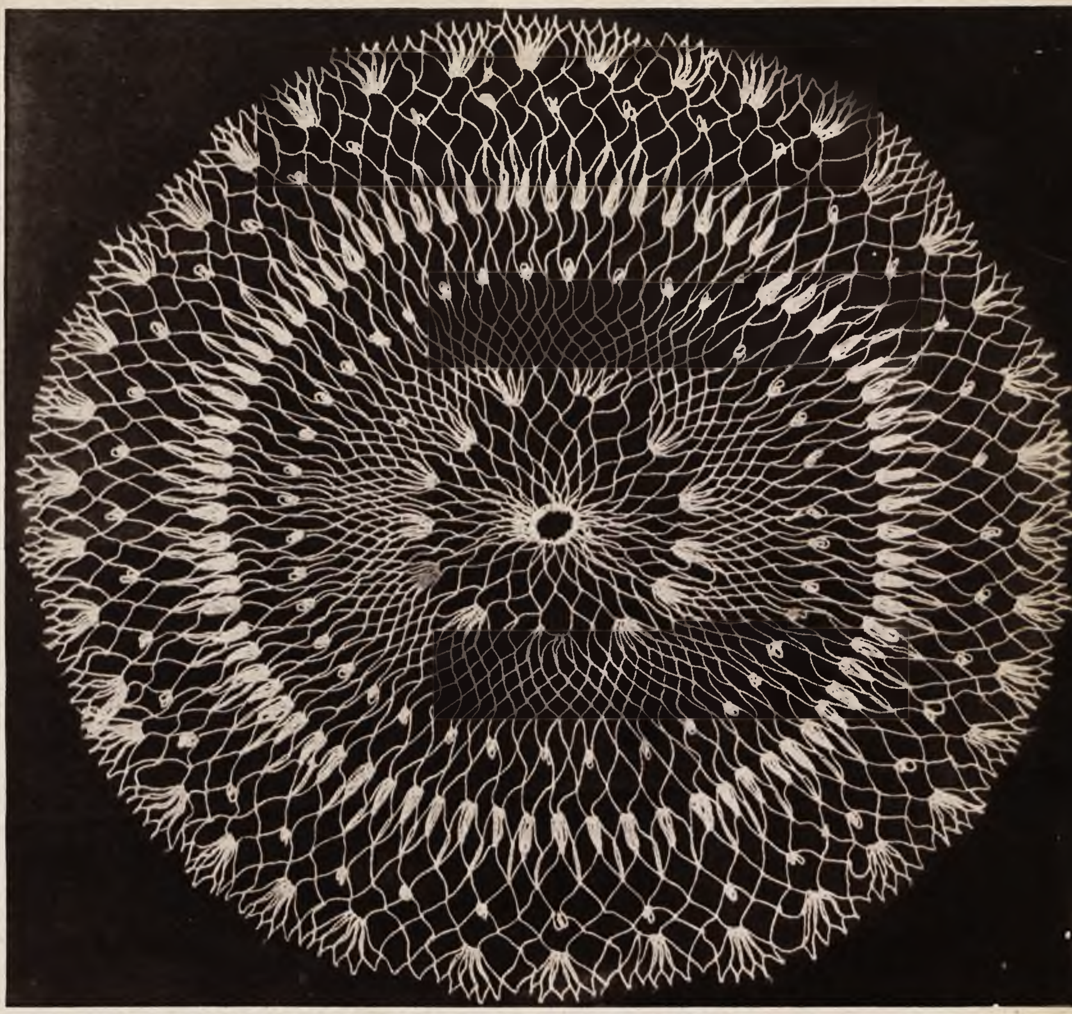
Siatkujemy takie zęby w ten sposób. Zawsze na początku od lewej ręki robimy na drucie tylko jedno oczko. Ale drut owijamy bawełną 2 razy i dopiero zawęźlamy węzeł. Gdy oczko zrobione, drut wyjmujemy, a bierzemy wałeczek, którym siatkowaliśmy ostatnie rzędy w serwecie i robimy oczko za oczkiem cały rządek.

Na końcu rządka nic się nie dodaje ani ujmuje, tylko obracamy robotę i zaczynamy siatkować następny rządek znowu na drucie 2 razy owiniętym bawełną. Drut znowu odkładamy, a na wałeczku siatkujemy dalej cały rządek. Teraz widzimy, że coraz mniej mamy oczek w rzędzie do siatkowania. I tak ząb (trójkąt) zakończymy oczkiem zrobionem na drucie dwa razy owiniętym.

Gdybyśmy pierwsze oczka z lewego boku zamiast na drucie zrobiły na zwykłym wałeczku, byłyby te zwisające oczka tak ogromne, że popsułyby cały efekt serwety.

## FIRANKI I KAPY.

Jeżeli chcemy zrobić wielką płaszczyznę siatkową na firanki lub na kapy, to możemy siatkować dwojakim sposobem. Zawiązujemy duże koło np. o 20 cm. średnicy i przypinamy to koło w dwóch miejscach na cegle, na prawo i na lewo tak, by się zupełnie wydłużyło. Zaczynamy siatkować z lewego boku tuż przy węzełku na cegle. Robimy 50—100, a nawet więcej oczek, jedno obok drugiego, wkładając iglicę w to rozchylone wydłużone koło.



*Pomniejszona serwetka siatkowa z pikotkami i pęczkami.*

Obliczyć wielkość siatki jest łatwo, bo zwykle jedno oczko, a właściwie jeden kwadracik w siatce przeznaczonej na kapę lub firankę ma wymiar 1 cm. Skończywszy cały rząd, obracamy siatkę, musimy więc odpiąć to koło z cegły i prawy bok przypiąć na cegle po lewej ręce, a lewy brzeg przypinamy po prawej ręce. Siatkując, nie dodajemy ani ujmujemy oczek, tylko siatkujemy gładko rząd za rzędem. Po zrobieniu jednak każdego rzędu przypinamy siatkę przeciwnie. Gdy potrzebna długość siatki gotowa, wtedy koło rozcina się a rozsunięta siatka tworzy obmyślaną płaszczyznę.

Ale taką wielką płaszczyznę w prostych kwadracikach możemy znowu zrobić w następujący sposób: Wiążemy duże koło i robimy w niem masę oczek naokoło ciągle ślimaczym sposobem, tak, że robota nasza nabiera kształtu rury albo worka. Gdy będziemy miały już żądaną długość, wtedy przecinamy pomocnicze koło i siatkę od dołu, aż do góry po kratce i zobaczymy siatkę jako wielką płaszczyznę.



*Siatkowy wzór stylizowana róża.*

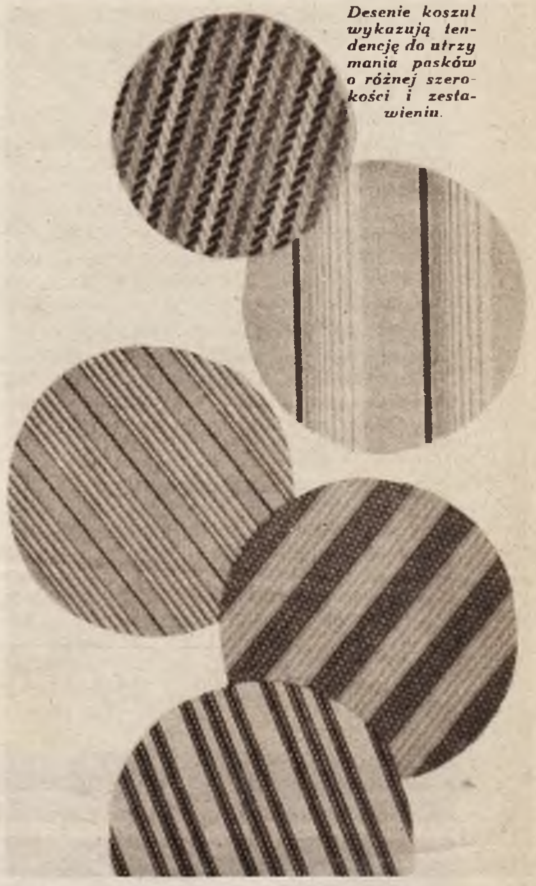
# ŁAMIGŁÓWKI MODY MĘSKIEJ

## *Jakie powinniśmy nosić koszule?*



Pisząc o męskiej bieliźnie, wkraczamy w dziedzinę może najbardziej zaniedbaną przez naszych „elegantów". Bo utarło się wśród nich dziwne przekonanie, że to, co zakrywa marynarka i kamizelka jest, jako częściowo tylko widoczne dla oka, znacznie mniej ważnem np. od fasonu ubrania, gatunku kapelusza, czy bucików itd. Tymczasem tego rodzaju pojmowanie elegancji w stroju męskim doprowadza nieraz do bardzo przykrych konsekwencyj. Taki zewnętrznie „wymuskany" gentleman wcześniej lub później spotkać się musi z zarzutem zupełnej ignorancji przepisów mody, która nakazuje równomierne, sprawiedliwe traktowanie wszystkich bez wyjątku części stroju męskiego.

Dlatego nie od rzeczy będzie, gdy w paru słowach zaznajomimy Czytelników „Łamigłówek mody męskiej" z przepisami, jakie obowiązują w odniesieniu do koszul. I tak w pierwszym rzędzie zajmiemy się mankietami, które jako zakończenie rękawów, powinny być zawsze dla oka widoczne. Ale i tu, jak i w każdym innym szczególe męskiej garderoby, przesada jest nie na miejscu. Zbyt wystające spod rękawów marynarki mankiety świadczyć muszą o zaniedbaniu w stroju i są siłą rzeczy niepraktyczne w noszeniu, tamując swobodę ruchów dłoni. Kryjące się znowu wstydliwie we wnętrzu rękawów, łacno naprowadzić mogą porównanie z owym elegantem, którego bielizna ogranicza się do kauczukowego półkoszulka. Chodzi więc o wyszukanie czegoś pośredniego, co będzie zarówno praktyczne, jak i eleganckie. Pod tym względem stosować się musimy do zasady, że mankiet koszuli powinien wystawać poza rękaw marynarki na szerokość 2 cm, przyczem długość rękawów marynarki powinna być umiarkowana, ale znowu bez przesady, tak chętnie widzianej przez modę amerykańską, skracającą i zwężającą rękaw do minimum. Szerokość mankietów uzależniona jest od numeru noszonego kołnierzyka, a obowiązujące pod tym względem wymiary podaje poniżej zamieszczona tabela.



*Desenie koszul wykazują tendencję do utrzymania pasków o różnej szerokości i zestawieniu.*

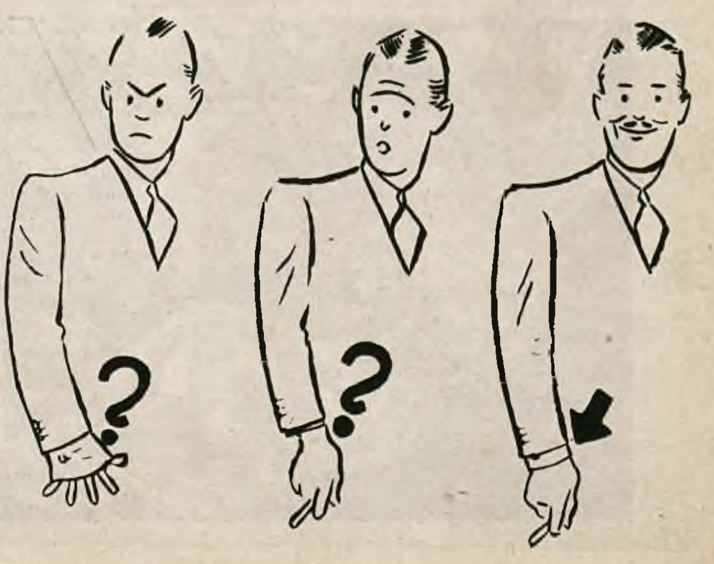
| MANKIETY | PRZY NUMERZE KOŁNIERZYKA: | | | | |
|---|---|---|---|---|---|
| | 35—36 | 37—38 | 39—40 | 41—42 | 43—44 |
| Zwykłe . . . . . . . . . | 24 cm. | 25 cm. | 25 cm. | 26 cm. | 27 cm. |
| Frakowe . . . . . . . . | 24 cm. | 25 cm. | 26 cm. | 27 cm. | 28 cm. |

***Na lewo:** Jednorzędowe ubranie marynarkowe, z bardzo dziś modnego brązu, z którym harmonizują utrzymane w odpowiedniej zieleni: kapelusz, krawat, chusteczka i pończochy. Jasno kawowa koszula w dyskretne ciemno-brązowe paski odznacza się niskim i silnie rozchylonym kołnierzykiem.*

***Poniżej na lewo:** Praktyczna szafa męska, w której znajdują wygodne pomieszczenie wszystkie części garderoby dobrze ubranego gentlemana.*

***Poniżej na prawo:** Dwie nieodpowiednie i jedna właściwa długość mankietu koszuli, który powinien wystawać z rękawa marynarki na szerokość dwóch centymetrów.*





# SZLAFROKI I BONŻURKI



Bonżurki nosi się przeważnie z jedwabiu, lub bardzo cienkiej flaneli. Długość ich nie przekracza miary normalnej marynarki, przyczem w fasonie przyjęte są kombinacje z paskiem lub dwarzędowem zapięciem na guziki. Bonżurki używane do smokingów mogą mieć klapy jedwabne, a całość utrzymaną w modnych dziś wzorach orjentalnych.

Filozofowie codziennego życia dawno już doszli do przekonania, że im wygodniej i przyjemniej spędzi się pierwsze chwile po wstaniu z łóżka, tem lepiej i trwalej nastraja się na najlepszy kamerton czuły instrument naszego usposobienia, tak ważną rolę odgrywającego w przebiegu reszty dnia. Nie bez głębszych więc przyczyn, taki mistrz wygodnego trybu życia zwraca uwagę na to, aby w smacznem, pobudzającem apetyt śniadaniu znaleźć wzmacniającą nerwy podstawę dla codziennej, wyczerpującej pracy umysłowej. Ale zarówno zapach aromatycznej kawy, jak i świeżego masła i szynki na sandwichach, nie może zapobiec powstaniu nieprzyjemnego uczucia zimna, które w rannych godzinach odczuwamy nawet w najbardziej luksusowem, a więc starannie opalanem mieszkaniu. Dlatego to posiadanie odpowiedniego stroju domowego, którym jest u mężczyzn przedewszystkiem szlafrok, wykonany z wełny lub jedwabiu, staje się nakazem już nie tyle elegancji, ale odpowiednio pojętej higjeny życiowej. Bonżurka natomiast wyręcza w domowem użyciu samą marynarkę, która z natury rzeczy narażoną jest na szybsze w innym wypadku zniszczenie. Zamieszczone obok zdjęcia dają wyobrażenie o fasonach dziś noszonego stroju domowego.

Poniżej: Model eleganckiego szlafroka, wykonanego z wzorzystego, cienkiego szewiotu (kołnierz szalowy, wąskie mankiety i nakładane kieszenie).



# Kilka uwag o kołnierzykach



Zależnie od grubości materjału, z jakiego sporządzony jest dany krawat, powstaje przy wiązaniu mniejszy lub większy węzeł. Przy pierwszym kołnierzyk może schodzić się u góry — przy drugim najodpowiedniejszym będzie fason z nieschodzącemi się u góry różkami.



„Jaki kołnierz jest modny?" — pytanie to stanowi niemalże problem „konkursowy" mody męskiej. Zwolennicy różnych fasonów gotowi są staczać ze sobą zaciekłe boje. Jeden woli wysokie, drugi niższe, jednemu odpowiadają bardziej wydłużone szpice, inny przysięga na równy. A każdy jest zdania, że właśnie fason, przez niego ulubiony, jest „ostatnim krzykiem" mody męskiej.

Jak we wszystkich dziedzinach ubioru mężczyzny, tak i tutaj cechuje prawdziwą elegancję umiar i pewien konserwatyzm. Niejeden z naszych „modnisiów", obserwując naprzykład dobrze ubranych angielskich panów, chwyciłby się za głowę: „Jakże można teraz nosić kołnierzyk o tak niemodnym fasonie".

Istnieją jednak pewne „zasady", których należy się trzymać. I tak naprzykład twardy kołnierzyk, obojętne, czy biały, czy kolorowy, do stroju sportowego jest wymysłem elegantów podrzędniejszego gatunku. Tak samo kołnierzyki stojące do garniturów spacerowych są nie na miejscu.

Natomiast w odniesieniu do samego fasonu kołnierzyka wykładanego istnieją pewne wahania, ale i te podyktowane są mniej nakazami kaprysów mody, jak raczej względami użyteczności. I dlatego od kilkunastu lat obserwujemy ciągły „przypływ" i „odpływ" fasonów kołnierzyków". Ilustracje zamieszczone przy tym artykuliku pozwolą naszym Czytelnikom na zorjentowanie się, jakie fasony w roku bieżącym są na pierwszym planie — co bynajmniej nie znaczy, że innych „nie wypada nosić".

Brummell.

Na lewo: Moda wiosenna wprowadza znowu dawny amerykański fason z okrągłemi różkami, który noszony jest chętnie do dwarzędowych marynarek.

# PRZEPISY

*odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3—4 osoby.*

**FRANCUSKA ZUPA CHLEBOWA.** Na łyżce masła smaży się małą cebulkę drobno pokrajaną, dalej na tem samem maśle kromkę czerstwego chleba (około 10 dkg) skrajanego na cienkie płatki. Po osmażeniu zalewa się chleb litrem rosołu z kości i jarzyn, rozgotowuje chleb i przeciera wszystko przez sitko. Zupę zaciąga się na ogniu 1/4 litrem śmietanki rozbitej z żółtkiem. Podaje się z jajami w koszulkach (wybite na gotującą się słoną wodę), lub groszkiem smażonym.

**RAGOUT Z GŁÓWKI CIELĘCEJ.** Dobrze oczyszczoną główkę cielęcą (bez móżdżków) gotuje się z włoszczyzną, paru ziarnami pieprzu i solą do miękkości, tak, aby tylko niewiele rosołu zostało. Z ugotowanej główki zdejmuje się mięso i kraje w drobną kostkę. Osobno dusi się na maśle 5 dkg cienko skrajanych pieczarek, zalewa rosołem, wkłada pokrajane mięso i gotuje razem jeszcze chwilkę. Wkońcu podprawia się paru łyżkami śmietany, rozbitemi z dwoma żółtkami lub też samemi żółtkami, roztartemi z łyżeczką soku cytrynowego i szczyptą cukru. Ragout podaje się z grzankami lub krokietami z bułki. Chcąc podać ragout jako danie dietetyczne, nie dodaje się pieczarek ani pieprzu.

**ZAKĄSKA ZE ŚLEDZIA.** Pocztowego śledzia i dwie sardelki oczyszcza się z ości i sieka lub miele z dwoma twardemi jajami, dodaje utartą na tarle sparzoną poprzednio cebulę, łyżkę francuskiej musztardy, białego pieprzu, parę łyżek oliwy. Dobrze wymieszaną pastą smaruje się na świeżo opiekane grzanki z bułki i kropi cytryną.

**JAJA W GNIAZDKACH.** 1 kg ziemniaków ołupanych gotuje się, przeciska przez maszynkę i uciera z łyżką masła i 1/4 litra śmietanki na gęste puree. Na okrągło wyciętym, w wielkości małego talerzyka, papierze pergaminowym posmarowanym masłem, kładzie się trochę puree, wygładza, a następnie karbuje łyżką, robi w środku dołek, do którego wbija się ostrożnie jajko. Dookoła jajka sypie się wianuszek siekanej szynki. Na jajko przez krzyż kładzie się dwa paski sardelki i kropi masłem. Gniazdka zapieka się w piecyku tak długo aż się jajka zetną i szybko podaje wraz z papierowemi podstawkami.

**BUŁECZKAMI NAPEŁNIANE JAJAMI.** Z małych okrągłych, bułeczek ścina się wierzch i wyjmuje całą ośródkę. Pustą bułeczkę smaruje się wewnątrz masłem i wlewa jajko rozbite z troszką siekanej szynki lub kto lubi pikantniej z roztartą sardelką z masłem. Ścięty wierzch smaruje się również od wewnątrz masłem i nakrywa bułeczką. Wszystkie bułeczki tak przygotowane ustawia się na masłem natartej blaszce i wstawia do gorącego piecyka na 10 minut. Podaje się na półmisku nakrytym ozdobną serwetką i przybiera zieloną pietruszką.

**SANDACZ W RYBNYM SZODONIE.** Oczyszczonego sandaza lub inną białą rybę gotuje się w słonej wodzie z dodatkiem szklanki wina, paru płatków cytryny bez pestek i kilku ziarnek pieprzu. Ugotowaną rybę wyjmuje się na półmisek i sporządza sos, licząc na osobę: 1 żółtko, 1 łyżkę wina i 1 łyżkę rosołu z pod ryby, pół łyżeczki mąki, szczyptę cukru i soli. Wszystkie te dodatki ubija się na parze na pienisty szodon, którym się pokrywa częściowo rybę, resztę zaś sosu podaje się w sosjerce. Makaron lub ziemniaki jako dodatek.

**ROŻKI Z ORZECHAMI.** 15 dkg masła, 15 dkg sera krowiego niezbyt mokrego, 18 dkg mąki i szczyptę soli zagnieść szybko na ciasto, zawinąć w serwetkę i pozostawić przez godzinę w chłodzie. Następnie wywałkować na grubość grzbietu noża, krajać w kwadraty, napełniać masą orzechową lub marmoladą, zwijać w rożki, posmarować jajkiem i upiec w gorącym piecu. Po wyjęciu posypywać póki gorące cukrem z wanilją. Przepis na masę orzechową: 10 dkg zmielonych orzechów zmieszać z 10 dkg cukru z wanilją, dodać 4 łyżki śmietanki i zagotować. Przed użyciem masę wystudzić.

**CIASTKA „ASY".** Z 16 dkg masła, 5 dkg cukru pudru, 20 dkg mąki, 1 jajka, 2 miałko utłuczonych goździków, łyżeczki cynamonu i troszki utartej skórki cytrynowej, zagniata się szybko, dotykają jak najmniej rękami — ciasto i odkłada je zawinięte do chłodnego miejsca na godzinę. Wywałkowane następnie dość cienko, smaruje się rozbitem jajkiem i kraje w kawałki wielkości karty. Na środek każdego kawałka kładzie się przegotowany biały (obciągnięty ze skórki) migdał. Karty układa się na blasze, wyłożonej dla łatwiejszego wyjęcia natłuszczonym papierem i piecze w niezbyt gorącym piecu. Na połowie upieczonych ciastek pokrywa się migdał glazurą czekoladową, sporządzoną z 4 dkg czekolady rozmiękczonej w cieple i syropu z 4 dkg cukru dolewanym do pilnie ucieranej czekolady. wkońcu dodaje się dla połysku grudkę masła. wielkości małego orzecha i uciera jeszcze chwilkę. Polewę należy trzymać w drugiem naczyniu z gorącą wodą, gdyż łatwo twardnieje.

**BARSZCZ ŻYTNI (żurek).** Zagotować ½ litra osolonej wody z grzybem, wlać pół litra barszczu żytniego, zagotować, grzybek posiekać i włożyć napowrót. Osobno podać ziemniaki z masłem.

**Sc. Ko.**



# Żelazko grzejnikiem

Przy odpowiedniej konstrukcji rączki żelazka, można go używać do doraźnego odgrzewania potraw czy napojów. Uważać jednak należy, żeby nie uszkodzić polerowanej płyty żelazka.

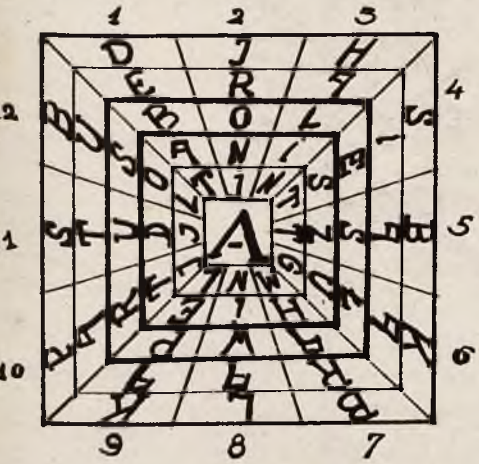
# 7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

*Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone*

| Święta rzym.-kat. | Tydzień 11 — **Marzec** — Dni 31 |
|---|---|
| Niedziela **8** Jana Boż. | Zupa móżdżkowa lub przystawka z móżdżków w pasztecikach. Faszerowane selery. Pieczone gołąbki, nadziewane farszem z wątróbek. Kompot z Wecka. Krem czekoladowy z waflami. Kolacja: Jaja w farszu mięsnym w galarecie |
| Poniedziałek **9** Cyryla i Metod. | Zupa Julienne na rosole. Sztuka mięsa w beszamelu. Befsztyki w garniturze z jarzyn i ryżu. Rożki orzechowe. Kolacja: Omlet z szynką, krokietki ziemniaczane. |
| Wtorek **10** 40 M.. Cyprjana | Zupa wątrobiana. Kapuśniaczki drożdżowe. Kotlety cielęce z sałatką zieloną. Marchewka z groszkiem. Suflet z mondaminy. Kolacja: Wątróbka cielęca po wiedeńsku. |
| Środa **11** Konstantyna | Pomidorówka z ryżem. Jaja w gniazdkach. Baranie kotleciki à la Robert z sosem cebulowym. Kruchy placek z jabłkami. Kolacja: Smażona kiełbasa z soczewicą. |
| Czwartek **12** Grzegorza W. p. | Zupa,chlebowa. Ragoût z główki cielęcej. Karree wieprzowe z kapustą. Omlet biszkoptowy z konfiturami. Kolacja: Bułeczki napełniane jajami. |
| Piątek **13** Rozyny p. | Zupa śmietanowa z koprem. Budyń jarzynowy. Sandacz w rybnym szodonie z ziemniaczkami. Suflet pomarańczowy. Kolacja: Zakąska z śledzia na grzankach, sery i ciastka do herbaty. |
| Sobota **14** Matyldy | Zupa z zielonego groszku /z puszki/ z płatkami. Salsefja lub bulwy w sosie beszamelowym z parmezanem. Szpikowana wątróbka cielęca, duszona w całości z ryżem lub ziemniaczkami. Kompot z śliwek. Kolacja: Galareta wieprzowa. |

# HOCKI-KLOCKI

**ROZWIĄZANIE LOGOGRYFU
z nru 9-go „Asa"**



Po wpisaniu w kwadrat dwunastu wyrazów dośrodkowo z końcową wspólną litera „a", trzeci rząd da nam imię i nazwisko Bolesława Prusa.

## ROZRYWKI UMYSŁOWE

### 1. W KLUBIE.

Dwunastu panów grało w brydża przez jedenaście wieczorów w ten sposób, że żaden z graczy nie mógł mieć tego samego partnera więcej niż jeden raz i tego samego kontrpartnera więcej niż dwa razy. Według jakiego schematu grali przy trzech stołach każdego wieczoru? Proponujemy czytelnikom oznaczyć dwunastu graczy dwunastoma pierwszemi literatmi alfabetu i rozdzielić gry, pamiętając, że co wieczór wykorzystywano przy każdym stoliku tylko jedną kombinację osób.

## HUMOR ZAGRANICZNY

*PRAKTYCZNA RADA.*



*Lekarz do dozorcy latarni morskiej:*

*— Cierpi pan trochę na neurastenję! Niech pan dużo spaceruje, używa ruchu, bywa na szerokim świecie — a wszystko przejdzie...*

*(„Ric et Rac")*

*ROZTARGNIONA MAMUSIA...*




### 2. NAUCZYCIELE.

W pewnem prywatnem gimnazjum uczy pięciu nauczycieli: p. Dogmat, p. Elektron, p. Kwiatek, p Pourquoi i p. Ułamek. Każdy z nich wykłada dwa przedmioty, których jest wogóle pięć i które odpowiadają nazwiskom nauczycieli. Lecz żaden nauczyciel nie uczy przedmiotu, odpowiadającego jego nazwisku.

P. Pourquoi grywa w preferansa z dwoma nauczycielami religji. Pan Ułamek jest żonaty z siostrą jednego z nauczycieli fizyki, a jego własna siostra wyszła za drugiego. Pan Dogmat nie lubi przyrody, a pan Kwiatek nigdy nie miał zdolności matematycznych. Pan Elektron spędza swe wolne chwile z obydwoma nauczycielami francuskiego. Pan Pourquoi i pan Ułamek uczą tego samego przedmiotu. Przyrody nie uczy nauczyciel, którego nazwisko odpowiada przedmiotowi, wykładanemu przez pana Kwiatka. Wszystkie lekcje przyrody i fizyki odbywają się równocześnie.

Jakich dwóch przedmiotów uczy każdy nauczyciel?

### 3. SZCZYT ZAWIŁOŚCI.

Wspólny wiek Marji i Anny wynosi 44 lata, a Marja ma dwa razy więcej lat niż miała Anna wtedy, gdy Marja miała połowę tego, co mieć będzie Anna, gdy będzie trzy razy starsza od Marji, gdy ta miała trzy razy więcej lat od Anny. Ile lat ma Marja, a ile Anna?

### 4. KALENDARZOWE TABLICE.

W biurze podróży wisiał na ścianie kalendarz, oznaczający dni roku nie w zwykły sposób, lecz kolejnemi liczbami od 1 do 365. Dzień 1 stycznia był więc oznaczony cyfrą 1, 3 lutego liczbą 34, 31 grudnia liczbą 365 lub 366, a to dlatego, iż biuro to stemplowało bilety jazdy tak oznaczonemi datami. Kalendarz był zrobiony z ramki, w którą wstawiało się odpowiednie tabliczki. Ile tabliczek wystarczy do oznaczenia wszystkich dni roku?

# NA SCENIE.

**W Teatrze Polskim** w Warszawie grana jest obecnie komedja Szekspira: **„Wieczór Trzech Króli"**, nosząca również drugi tytuł: „Co chcecie". Komedja ta posiada wiele uroku i sympatycznej zabawy, to rodzaj dzisiejszej dobrej rewji, czy komedji muzycznej. By jednak w pełni mogła się podobać dzisiejszej publiczności, musi posiadać dowcipny, współczesny przekład, a nie męczący i nużący tekst dawnego ciężkiego tłumaczenia. — „Wieczór Trzech Króli" słynie w Polsce z dawnej wspaniałej kreacji L. Solskiego w roli Chudogęby. Obecnie w Teatrze Polskim w Warszawie reżyser Borowski położył nacisk na uwspółcześnienie inscenizacji, dając groteskowe dekoracje Daszewskiego i groteskowe kostjumy. Przedstawienie jest ciekawe, ale budzi polemikę wśród krytyków i widzów na temat sposobów inscenizowania tej komedji raczej muzycznej niż plastycznej. Największym atutem przedstawienia jest Józef Węgrzyn w roli



*Józef Węgrzyn*

Malvolia. Węgrzyn dawno nie odniósł takiego sukcesu. Jeden z krytyków W. Natanson zauważa: „Głupia nadętość Malvolia, jego pedantyczne gesty, uroczyste stąpanie, przezabawne sznurowanie ust — to wszystko stworzyło naprawdę nieprzeciętną kreację aktorską". — Przepyszną postać Czkawki dał Kurnakowicz, a Chudogębę starannie gra Karczewski, który w ostatniej chwili zastąpił, po przerwanem przedstawieniu, ciekawego w tej roli Grabowskiego. Dużo uroku i humoru w roli Violi ma Smosarska, niewłaściwie zresztą obsadzona, a dobrą grą uzupełniają zespół Tatarkiewicz-Woskowska, Macherska, Łuszczewski, Wyrzykowski, Kondrat.

**Teatr Polski w Katowicach** dziesiątą rocznicę zgonu Stefana Żeromskiego uczcił obecnie silnem dziełem dramatycznem: **„Turoń"**, które przygotowano z dużym pietyzmem w reżyserji Pobóg-Kielanowskiego. Główną postać Szeli gra z siłą wyrazu Ostoja-Staszewski, a inne role starannie grają Grzębska (Weronika), Zbyszewska, Wasilewski (Ksawery), Jastrzębski (Chudy), Godlewski, Martyka, Czajkowski, Kostrzewski, Brandt, Karasiński i inni.

**W Bydgoszczy Teatr Polski** z dużą starannością wystawił tragedję Słowackiego: **„Balladynę"**. Reżyser Szyndler uwypuklił przedewszystkiem poetyckość tej bajki, a rolę tytułową mocno zagrała Sawicka, Paszkowska (Alina), Morozowiczowa (matka). Stajewska (Goplana), Winczewski (Grabiec), Szyndler (Kirkor), Motyczyńska (Chochlik), Kalczanka (Skierka), Dytrych i inni przyczynili się swą grą do stworzenia dobrego widowiska.

**Teatr Polski w Poznaniu** po **„Starem winie"** z dyr. Boelkem i Łabuńską w rolach głównych, gra obecnie **„Przechodnia"** B. Katerwy. (swb).

# To warto poznać...

# NOWE KSIĄŻKI.

Ukazał się właśnie na półkach księgarskich III-ci i ostatni tom **„Obrazy Współczesnej Literatury Polskiej" Kazimierza Czachowskiego**, dzieło kilkunastu lat pracy. — Książka ta, wydana nakładem Państw. Wydawnictwa Książek Szkolnych, jest pierwszą bogatą, objektywną pracą, obrazującą całość współczesnej literatury polskiej.

Czachowski pisze jako krytyk, nie roszcząc sobie bynajmniej pretensji do roli historyka literatury. Zresztą uczony historyk literatury, hierarchizujący pisarzy i nakreślający obraz epoki — nie powinien zabierać głosu o współczesnej twórczości, dopiero tworzącej się i posiadającej rozliczne, często na pierwszy rzut oka niedostrzegalne oblicza.

Czachowski sam stwierdza, że stosunek krytyka literackiego do współczesnej twórczości nie może być nigdy całkowicie objektywny, ani też oparty na jednakowej, równomiernej ocenie. Różnorodne są bowiem aspekty, z jakich ocena może być dokonywana. O tem powinien rozstrzygać przedewszystkiem sam utwór literacki zarówno jego forma, jak i przedewszystkiem przedmiot.

Czachowski zwłaszcza w III tomie swego „Obrazu" stwierdza, że z chwilą odrodzenia się państwa polskiego nastąpiły głębokie przemiany w powojennej literaturze polskiej. Literatura w dalszym ciągu silnie zespolona jest z życiem. Nowa rzeczywistość społeczno-narodowa, kult teraźniejszości, rytm współczesności zrodziły — jak twierdzi Czachowski — przedewszystkiem dwa kierunki literackie — neorealizm i ekspresjonizm. Ale nad wszystkiemi przejawami literatury współczesnej góruje ideał nowego człowieka, o który walczą wszyscy naprawdę ważni pisarze.

Trzeci tom „Obrazu" Czachowskiego, liczący blisko 800 stron druku, daje sylwetki i informuje o twórczości wszystkich tworzących współcześnie pisarzy. Objektywny swój sąd popiera Czachowski niejednokrotnie sądami innych krytyków, mając równocześnie sądy zarówno dodatnie, jak i ujemne. W ten sposób książka Czachowskiego jest równocześnie małą antologją sądów krytycznych o współczesnych pisarzach.

Obraz współczesnej literatury zamyka Czachowski obfitym działem biograficzno-informacyjnym, bogatą bibljografją i tablicami porównawczemi.

Książka Czachowskiego, przygotowana z niezwykłą sumiennością, napisana bardzo objektywnie, a przedewszystkiem z wyjątkowem wprost znawstwem przedmiotu jest doskonałym informatorem i przewodnikiem po współczesnej literaturze. Czachowski okiem optymisty patrzy na współczesną twórczość, niejednokrotnie jest nawet entuzjastą współczesnej literatury. Takie stanowisko krytyka jest również twórcze, gdyż zapładnia myśl pisarzy, a nie niszczy ich. (swb).

## NA NAJLEPSZEJ FALI

**Niedziela 8. III.**

10.00: Utwory Feliksa Mendelssohna.
10.20: Transmisja nabożeństwa z Katedry św. Jana.
12.15: Poranek muzyczny z Łodzi.
14.00: „Maryjka" — opowiadanie Poli Gojawiczyńskiej.
14.20: Muzyka lekka.
15.00: Godzina rolnika.
16.15: Chór Juranda śpiewa swoje piosenki.
17.00: Koncert Orkiestry Marynarki Wojennej.
17.40: Śląska migawka regjonalna.
18.00: Pieśni w wykonaniu Adeliny Korytko-Czapskiej.
18.30: „Komedja o człowieku, który poślubił niemowę" — słuchowisko.
21.00: Na wesołej Lwowskiej Fali
21.30: Samolotem nad Ameryką — felieton.
22.00: Koncert w wykonaniu Orkiestry P. R.
22.40: Koncert w wykonaniu Małej Orkiestry P. R.

**Poniedziałek 9. III.**

12.25: Muzyka salonowa.
15.30: Z pogodnych pieśni Stanisława Niewiadomskiego.
16.15: Koncert zespołu W. Tychowskiego i J. Rosnera.
17.00: „Sprawa pana Pique" — skecz.
17.20: Kwintet B-Dur na fortepian Rimskij-Korsakowa.
18.00: Muzyka lekka.
19.50: Pogadanka aktualna.
20.00: Niewydane utwory Mieczysława Karłowicza.
21.00: Greta Turnay śpiewa piosenki wiedeńskie.
21.30: Na podzelowanym koturnie — wieczór literacki.
22.00: Koncert symfoniczny.
23.05: Muzyka taneczna.

**Wtorek 10. III.**

12.30: Koncert.
15.30: Muzyka lekka.
16.15: Koncert.
16.45: Cała Polska śpiewa.
17.00: Sole potasowe — odczyt z cyklu „Skarby Polski".
17.15: Koncert w wyk. Małej Orkiestry P. R.
18.10: Pieśni w wyk. Tatjany Nolier-Mazurkiewiczowej.
18.30: Literatura jugosłowiańska w przekładach polskich — szkic.
20.00: Koncert symfoniczny.
22.00: „Ero-szelma" III akt opery J. Gotovaca — transm. z Zagrzebia.
23.05: Muzyka taneczna.

**Środa 11. III.**

12.15: Nowości mody wiosennej — pogadanka.
15.30: Koncert Kwintetu Salonowego Arkadjusza Flato.
15.30: Za chińskim murem — audycja dla dzieci.
16.20: Sonaty w wykonaniu Herminy Tursch i Mieczysława Turscha.
16.45: Rozmowa muzyka ze słuchaczem radja.
17.00: W obronie powieści tendencyjnej — odczyt z cyklu „Dyskutujmy".
17.20: Świat jest naprawdę piękny.
18.10: Pieśni angielskie i francuskie.
19.50: Reportaż aktualny.
20.00: Muzyka lekka.
21.00: XXVII audycja z cyklu „Twórczość Fryderyka Chopina".
21.50: Audycja w 75 rocznicę śmierci Tarasa Szewczenki.
22.30: Muzyka salonowa i taneczna.

**Czwartek 12. III.**

12.15: Poranek muzyczny.
13.00: Utwory Jana Sebastjana Bacha.
15.30: Koncert zespołu mandolinistów „Echo".
16.00: „Gregorjanki" — opowiadanie Janiny Porazińskiej.
16.15: Muzyka lekka.
16.45: Cała Polska śpiewa.
17.00: „Fornir i dykta" — odczyt.
17.15: Najpiękniejsze sonaty Wolfganga Amadeusza Mozarta.
18.05: Piosenki w wykonaniu Tadeusza Olszy.
18.30: Film, plastyka, architektura.
18.40: Jak spędzić święto.
18.55: Nawożenie i pielęgnacja łąk warunkiem dobrych plonów — pogadanka.
20.30: Audycja ku czci Marszałka Józefa Piłsudskiego.
21.00: Słuchowisko.
22.00: Koncert symfoniczny.
23.05: Muzyka taneczna.

**Piątek 13. III.**

12.15: Audycja dla szkół.
12.40: Koncert z udziałem solistów.
15.30: Recital fortepianowy Heleny Landau.
16.15: Koncert muzyki Orkiestry Tadeusza Seredyńskiego.
16.45: Puma przyjaciel człowieka — audycja dla dzieci.
17.00: Źródła mineralne i zdrojowe w Polsce — odczyt z cyklu „Skarby Polski".
17.20: Pieśni w wykonaniu Witolda Łuczyńskiego.
18.00: Koncert kameralny.
19.45: Biuro Studjów dozmawia ze słuchaczami P. R.
19.55: Jak powstał Robinzon — skecz.
20.10: „Carmen" Bizeta — transm. z Teatru Wielkiego w Warszawie.

**Sobota 14. III.**

12.25: Zespół Haliny Adamskiej.
14.30: Koncert Skrzypcowy g-moll Viwaldi'ego, opr. Tivadar Nachez.
15.00: Pod Mosarzem — epizod z niedrukowanej powieści St. Rembeka.
15.30: Jazz artystyczny w wyk. zespołu Adi Rosnera.
16.15: Wesoła audycja dla dzieci.
17.00: Pierwsi Polacy podróżnicy w Abisynji — odczyt.
17.15: Nowości z płyt.
17.40: Azalja pontyjska, najpiękniejszy krzew polski — pogadanka.
18.00: Koncert Orkiestry Reprez. Kolejowego Przysposob. Poczt. w Krakowie.
20.00: Ze wspomnień kinomana — lekka audycja muzyczna.
21.00: Audycja dla Polaków z zagranicy.
21.30: Zgoda musi być — lekka audycja z Poznania.
22.00: Koncert wieczorny.
23.05: Muzyka salonowa i taneczna w wyk. Małej Orkiestry P. R.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.